Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

BIBL... WYŻSZEJ SZKOŁY EKONOMICZNEJ W GDAŃSKU

Wieś tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

R. ZAMBROWSKI — Zadania korespondentów chłopskich. J. B. OŻÓG — Pożegnanie.
J. CYRANKIEWICZ — „Chłopi potrzebują Waszej pomocy". J. STAWIŃSKI — WATYKAN.
Z. ZALEWSKI — Za drutami... J. TRZNADEL — Droga do pieśni wysokiej.
W. UDALSKI, K. KOSZUTSKI, T. CHROŚCIELEWSKI, T. GICGIER — Wiersze.
E. SZUSTER — Obserwacje, uwagi, wnioski. A. TREPKA — Sonda w przyszłość.
J. A. KRÓL — Wśród korespondentów L. BARTELSKI — Czynem i piórem.

Rok IX

Warszawa, dn. 13 VII. 1952 r.

Nr 28 (362)

BOGDAN CHOCIANOWICZ

PODLASIE LEŻY NAD BAŁTYKIEM

Fot. J. Czajkowski

I

STATEK, mimo balłowatych niczym u mazurskiej gospodyni kształtów, zaczął się lekko kolebać. Białe, spienione bryzgi dotarły teraz i na górny pokład. Od dziobu z piskiem rozbiegły się dziewczyny. Rozgdakane jak stado kokoszek usadowiły się w pobliżu nas, susząc na wietrze zamoczone, szerokie spódnice. A bałtycki wiatr — figlarz unosił je do góry, odsłaniając wysoko młode, opalone nogi.

Palce Somli, poczerniałe, grube i rogowate od pracy, chłopskie palce, jakimś pieszczotliwym ruchem dotknęły kłaczka piany, który osiadł mu na klapie marynarki. Wyblakłe, niebieskie oczy spoglądały na rozfalowany Zalew, potem w stronę, gdzie znikły już kominy Huty i „Superfosfatu" a wreszcie znów na wodę i na rozradowane twarze dziewczyn

— Młodość — mruknął — młodość...

I chcąc widocznie nawrócić do rozmowy, którą przerwały dwie latarnie „bramy południowej", wytyczającego początek zalewowego szlaku żeglownego na Świnoujście, zaczął:

— Chciałoby się staremu, jak tym sikorkom, skakać z uciechy... Przecież... pierwszy raz na starość, na morze płynę... Ta-ak, na starość... Ho. ho, stary Somla, kto by to pomyślał? Tylko że skakać sfatygowane gnaty nie pozwalają... A dziewuchy skaczą, oj skaczą... Dla nich od wiosny życia wszystko: ziemia, morze i nauka...

Położył mi swoją ciężką rękę na ramieniu i dokończył ciepłym, poważnym głosem:

— Ty mnie, chłopcze, zrozumiesz... Cieszy się człowiek i żal mu jednocześnie... Ta wasza — inna młodość... I morze inne... morze, które dziś od naszych, podlaskich piachów o krok...

Statek mijał właśnie drugą „bramę". Morze było coraz bliżej, z każdą chwilą bliżej.

II

Morze o krok... Jakże dalecy byliśmy od niego, i Somla i ja, w latach mojego dzieciństwa. Pamiętam Podlasie tamtych czasów, pamiętam rodzinną wieś Somli — Żabokliki. Ród Somlów należał wtedy do najliczniejszych i najbardziej sproletaryzowanych rodzin biedoty wiejskiej w okolicy. Obok Plichtów, Łuków, Szczurów i Bajków właśnie Somlowie najgęściej zaludniali ponure, walące się, gliniane czworaki majątku niemieckiego obszarnika — Stencla. Na żniwa i wykopki, do pracy na „pańskie" pola stawiali się wszyscy Somlowie w komplecie. Z odległych o 3 kilometry Żaboklik nadciągali do Somlów - „dworusów" nieliczni Somlowie-„gospodarze". Na „dorobek" Dziedzic był rzadkim w okolicy łaskawcą, który przynajmniej sezonowo dawał zatrudnienie. W powiatowej mieścinie, szumnie tytułowanej stolicą Podlasia, w Siedlcach, typowym wytworze i okazie Polski B, nie miał czego szukać człowiek, którego ręce zbędnymi czyniło przeludnienie wsi.

W majątku Stencla właśnie zawarłem znajomość z Somlami i *przymierze z morzem*. Kto wie, bardzo możliwe, że wtedy także i u Somlów narodziło się marzenie o Bałtyku: ujrzeć go z bliska, dotknąć jego wód.

Gdzieś w roku 1935, a może w 1936, w letni, wakacyjny wieczór, jeden z dworskich Somlów, zastępując chorego stangreta odwiózł „państwo" na stację. Najmłodsza latorośl owego zastępcy stangreta, Bolek, był moim serdecznym kolegą. Z tego też tytułu często bywałem w dworskich stajniach, gdzie podziwiałem cugowe konie i pomagałem przyjacielowi czyścić błyszczące uprzęże.

Wieczór wyjazdu „państwa" był o tyle niecodzienny, że ojciec Bolka otoczony przez pilnie słuchających parobków i oczywiście, co ciekawszą dzieciarnię, opowiadał o tym, co zasłyszał z rozmów prowadzonych przez dziedzicowską familię w drodze do stacji.

— Najpierw młody pan wypytywał dziedzica jak się będą zabawiać w Warszawie i żeby tam siedzieć niedługo, bo szkoda pogody. A potem to się długo sprzeczali czasem po naszemu a czasem w tym ich czorcim języku. Tylem tylko zrozumiał, że starsza pani robiła wymówki dziedzicowi. Coś tam szwargotała, że wystarczy samo morze, że gdzieś tam w jakichś Kapotach czy Copotach jest drogo i pieniędzy szkoda. A panienka to nic, tylko ciągle o kawalerach, o smarowidłach na gębę i o tym, że nad tym morzem się opali jak cyganka...

Łowiliśmy z Bolkiem każde słowo. Wreszcie pociągnął on ojca za rękaw i zapytał: — Tato, a daleko do tego morza? A jakie ono? Dużo tam wody, więcej aniżeli w całym Liwcu?

Pamiętam, że ojcowska odpowiedź nie zadowoliła ani Bolka ani mnie. Postanowiliśmy po wakacjach zasięgnąć ścisłych informacji u nauczyciela. Tymczasem długo jeszcze przysłuchiwaliśmy się chłopskim, fantastycznym medytacjom o morzu, o marynarzach i okrętach, o krewnych i znajomych, którzy kiedyś wypłynęli na to morze za chlebem i ślad po nich zaginął.

I w gruncie rzeczy morze było dla tych ludzi czymś tak nierealnym, odległym i nierzeczywistym, jak i dla nas, dzieci, mierzących wszelkie ilości wody skalą wysychających, podlaskich strug - rzeczułek: Muchawki, Sekuły lub co najwyżej Liwca.

Ale od tego czasu i za mną i (jak wykazała historia) za Somlami ciągnęła jak mewa za statkiem wizja niedosiężnego morza.

III

Przez wiele jeszcze lat marzenie o morzu było dla mnie i dla Bolka Somli dziecięcą fantazją, jakąś wielką, a nieziszczalną przygodą, o której mówiły słowa żarliwie na pamięć wykutego po wakacjach wiersza:

„Chcę zwalczać fale, zwyciężać burze,
Przebywać mórz przestrzeń słoną,
I trzymać zawsze wysoko w górze
Banderę biało-czerwoną"

— jak powiada wygrzebany z pamięci fragment.

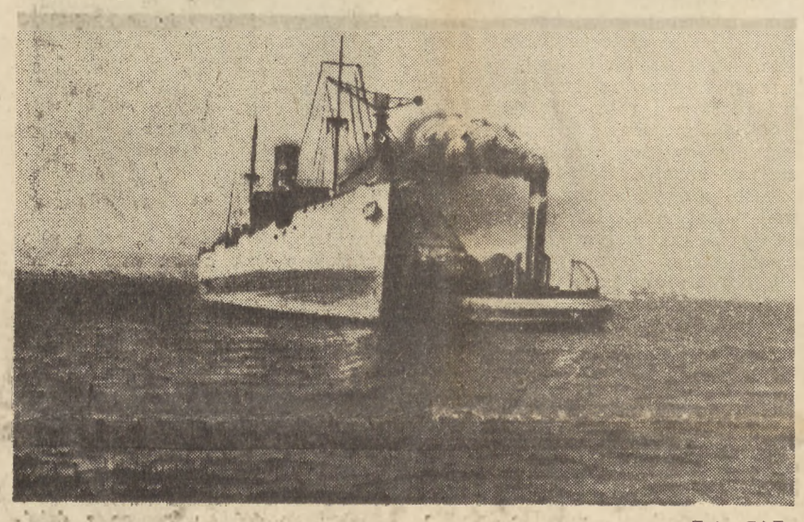

Foto CAF

Dla seniorów somlowskiej familii marzenie to nie było skonkretyzowane nawet w tak mikroskopijnym wymiarze. Po prostu dla tego, że niewielu z nich posiadało sztukę pisania i czytania. Mimo to wielu Somlów poszło w parę lat potem, we wrześniu, aby bronić skrawka niewidzianego morza. I wielu nie powróciło i nie ujrzało go na oczy.

A potem przyszły czasy podłe. Nauczyciela, który nauczył nas wierszyka o morzu, rozstrzelano na siedleckim rynku, Somlę ze Starej Wsi powieszono za przechowywanie żydowskiej rodziny, a wszelkie marzenia trzeba było zawiesić na kołku. Bałtyk odpłynął dla nas gdzieś między gwiezdne konstelacje.

Aż dopiero zrobił się bliższy w huku „katiusz" pewnej jesieni, jesieni wyzwolenia ziemi podlaskiej. I stał się widzialny gołym okiem wiosną następnego roku.

Tej wiosny, a raczej już na początku lata 1945 roku, Jan i Stanisław Somlowie pociągnęli szlakiem „na Zachód", nad morze. Osiedli na dostatnich gospodarstwach w Charnowie, w powiecie słupskim, niewiele kilometrów od Ustki. Czesław Somla — najstarszy z braci, stał się nagle i niespodziewanie właścicielem 7-hektarowego gospodarstwa w Żabokl kach. Bracia oddali mu swoje kawałki ziemi.

A w ogóle zmieniać się zaczęła dola somlowego rodu. Śmierdzące stęchlizną czworaki rozwalili robotnicy kolejowi, na miejscu stenclowskich latyfundiów powstała szkoła rolnicza z doświadczalnymi polami i zaczęto budowę fabryki przetworów mlecznych, werbowano do roboty na warszawskie budowy. W jakiś niecały rok po wyjeździe na nowe ziemie pierwszych Somlów zaczęli opuszczać podlaskie, gęste od ludzi piachy następni familianci: były parobek — Antek Somla osiedlił się na Wybrzeżu i zaczął pracować w porcie gdańskim, przy przeładunku; wkrótce po nim Bolek ziścił dziecięce pragnienia — został jako ochotnik przyjęty do Marynarki Wojennej.

Podlasie przybliżało się do morza. Do Żaboklik, Starej Wsi, Mokobód Wiśniewa, wszędzie tam, stąd wyruszyli, aby odetchnąć pełną piersią przedstawiciele starodawnych, lądowych, chłopskich i parobczańskich rodów, przychodzą już od lat listy. I tak, jak z każdym nowym listem przybywało chłopskiemu pismu ortografii i gramatyki, tak rozjaśniały się w głowach pozostałych na starej ziemi skomplikowane ongiś zagadnienia morza. Bałtyk stawał się czymś bliskim, znajomym, dotykalnym.

IV

Czesław Somla czekał na ten dzień i doczekał się.

Statek zgubił już gdzieś swoje kaczkowate kolebanie. Leniwie i równo sunął po gładkiej tafli kanału, pykając kłębkami rudego dymu. W zakrytym od wiatru kanale rude obłoczki wciskały się na górny pokład i ciemnymi punkcikami znaczyły ubrania i twarze. Dziewczyny z piskiem, radosnym z powodu jeszcze jednego urozmaicenia podróży, zbiegły schodkami do statkowego salonu. Ale Somla trwał przy burcie wyprostowany jak bocian na żaboklickich stawach. I jak bocian wyciągał szyję w przód, zdając się chłonąć wzrokiem coś, co z tego miejsca było jeszcze niewidoczne, ukryte za horyzontem, za błękitem wody i zielenią drzew.

— Tam... morze... i Baza — powiedział wreszcie.

— Siądźcie, Somla, to jeszcze kawałek drogi — zwróciłem mu uwagę.

— Kawałek drogi, powiadasz... Ano, siądźmy...

Usiedliśmy na brązowej ławeczce. Somla czas jakiś myślał widać głęboko, bo czoło mu się marszczyło w poziome i pionowe fałdy, a niedopalony papieros przykleił się do wargi. Wreszcie zagadnął: — A ty... widziałeś Bazę?

Przytaknąłem. Wtedy zapytał: — I wszystko tam jest tak jak piszą? I budowle wielkie, i trawlery duże, i rybę przywożą aż spod bieguna? I wszystko tak... *naukowo*?

Chciał widocznie przez te pytania pogłębić swoją pewność, bo nie czekając na odpowiedź zaczął mówić szybko, głośno, prawie gwałtownie:

— Byłem przez te dwa dni w trzech spółdzielniach. W jednej starszej, w Bynowie, potem w Marwicach i jeszcze gdzieś... w Dyniach zdaje mi się....

— W Baniach — poprawiłem.

— Tak — zgodził się — w Baniach. Otóż i w tej starej spółdzielni, i w tych dwóch młodszych od razu człowiek widzi naukę. Na polu — nauka: maszyny, co to i zaorzą, i zasieją, i opielą, i zbiorą. W domu — nauka: elektryczne światło, radio, rolnicze książki. A jak się rządzą? Naukowo, z wyliczeniem na papierze... I plony zbierają, aż oczy od patrzenia bolą...

Zamilkł. Przed nami widać już było koniec kanału i zarysy świnoujskiego portu. Somla popatrzył na coraz wyraźniejsze, masywne zespoły portowych urządzeń i lekko zażenowanym głosem, jakby chcąc się wytłumaczyć ze swojego chwilowego wybuchu, dorzucił: — Tak, tak, ta nauka mnie boli... Bo widzisz, ja już od dwóch lat, kiedy bracia w Charnowie spółdzielnię założyli, pracuję, żeby i u nas, w Żaboklikach... naukowo... Ale ty wiesz jak w Żaboklikach ciężko. Tam, jak siódmy pot w te piachy, pańskie tumanienie wsiąkło w ludzi. Nie rozumieją jeszcze, że na ziemi, jak na morzu, lepiej i łatwiej jest razem, wspólnie...

Statek płynął, a świnoujski port z wynios łymi budowlami Bazy, owocem wspólnego trudu robotników, owocem zwycięskiej nauki, rósł nam w oczach. I morze. Morze, na którym „lepiej jest wspólnie".

Dopiero w pięciu gromadach siedleckiego powiatu zrozumiano mądrość wspólnej pracy. Somla chce, żeby jego Żabokl k, te 60 rodzin na 300 ha ziemi, były szóstym zespołem w powiecie. Teraz chyba pójdzie mu to łatwiej. Przecież oprócz niego zwiedziło szczecińskie jeszcze pięciu z żaboklickich rodzin: Plichtów, Łuków, Szczurów, Bajków i Niedziółków, sześciu ich razem poznało dorobek szczecińskiej ziemi.

Bogdan Chocianowicz

Krajowe wycieczki chłopów

Wycieczka chłopów z pow. siedleckiego.

STANISŁAW CIEŚLAK

O UMOCNIENIE SPOJNI PRZEZ HANDEL

„DOSTAWY obowiązkowe — mówił na VII Plenum KC PZPR Prezydent Bierut — obejmują i będą obejmować również na przyszłość tylko część towarowej produkcji gospodarstw chłopskich, a w żadnym wypadku nie całą produkcję towarową. Pozostałą część swej produkcji rolnik może wymieniać swobodnie na rynku w wolnej sprzedaży i nikt go nie będzie w tym krępował".

Sprawa ta jest dziś przedmiotem ogromnie ożywionej dyskusji na wsi i wśród terenowych działaczy gospodarczych, była ona również żywo i namiętnie dyskutowana w rozmowach na Krajowym Zjeździe Korespondentów Chłopskich.

I rzecz ciekawa, że pierwszym odruchem wielu mało i średniorolnych chłopów w tej sprawie była pewna obawa, wcale nie ukrywana, czy to nie oznacza wskrzeszenia dawnego kapitalistycznego rynku z jego grą cen, przy pomocy której kupiec prywatny i spekulant ogałacał chłopa pracującego z owoców jego pracy. A chodzi przecież o rzeczy niebagatelne. Po odstawieniu obowiązkowych dostaw pozostaje bowiem chłopu zwłaszcza mało i średniorolnemu co najmniej trzecia część towarowej produkcji zboża, co najmniej połowa towarowej produkcji mięsa, co najmniej dwie trzecie towarowej produkcji mleka, cała towarowa produkcja jaj, pasz, warzyw, owoców ,wełny itp.

Choć te obawy są płonne i polegają na nieporozumieniu (nie ma przecież mowy o wskrzeszeniu dawnego kapitalistycznego wyzysku i spekulacji, czy osłabieniu roli państwa w regulowaniu ceny i formy obrotu) jednak są one godne podkreślenia gdyż wymowniej od innych faktów świadczą o ogromnym przywiązaniu i zaufaniu pracującego chłopstwa do całej socjalistycznej gospodarki, a w tym i do socjalistycznego handlu. Bowiem niejeden chłop który nieraz sarka (a często słusznie sarka) na jakieś nieporządki i braki w zaopatrzeniu wsi, który w wielu korespondencjach terenowych tak ostro nieraz krytykuje pracę GS-ów i PZGS-ów gdy usłyszał słowo „wolna sprzedaż nadwyżek" uląkł się tego słowa.

Bo dobrze pamięta chłopstwo pracujące ten dawny, „przedwojenny" rynek. Zbyt nawet dobrze pamięta, jak to było np. w r. 1939 w Białostockiem, gdzie przy sprzedaży żywca wołowego zysk pośrednika wynosił 129% ceny płaconej chłopu, gdy dziś marża uspołecznionego handlu jest dziesięciokrotnie niższa i wynosi zaledwie 12% ceny płaconej chłopu.

Zbyt dobrze pamięta przedwojenną rozpiętość cen, gdy chłopu za kg żywca wieprzowego w woj. Łomża płacono 50% ceny płaconej za taki sam kg żywca, ale kupiony w pobliżu wielkiego rynku zbytu, a dziś ceny zakupu żywca np. w Będzinie i w Łomży różnią się zaledwie o 8%. Przed wojną do punktu skupu żywca miał chłop przeciętnie blisko 11 km, dziś mniej niż 6 km, do punktu skupu mleka przed wojną 6 km, dziś poniżej 2 km.

Pamięta chłop jak to było ze zmianami cen w ciągu roku, gdy np. w pow. jarosławskim (woj. rzeszowskie) biedniejszy chłop, przyciśnięty długami i podatkami musiał już w sierpniu (np. w r. 1935) sprzedać żyto — brał za kwintal aż... 9 zł 25 groszy, a gdy na przednówku w maju (1936 roku) musiał tego zboża dokupić na chleb dla siebie i rodziny, wtedy żądał od niego kułak i spekulant tylko 13,32 zł, często za to samo zboże. Gdy w sierpniu tegoż 1935 rozglądał się za jakim prosiaczkiem, albo warchlakiem, aby go po wykopkach wziąć na tucz, to płacił po 0,86 zł za kilogram, gdy w styczniu przypędzał utuczoną już świnię na targ dawano mu tylko 0,60 zł za kg

Nic więc dziwnego, że niejeden chłop, gdy usłyszał słowa „wolna sprzedaż nadwyżek", żachnął się w obawie, bo przypomniał sobie dawny „wolny" rynek, na wspomnienie którego wzdryga się jeszcze jak na wspomnienie makabrycznego snu, pełnego zmor.

Rzecz jasna nie o taki przedwojenny, „wolny" rynek chodzi, który dławił produkcję, wypychał z rynku i zmuszał do gospodarki samozaopatrzeniowej ogromną większość biedoty i dużą część średniorolnych, a zyski przynosił tylko obszarnikowi, kułakowi i spekulantowi miejskiemu. Nie o taki chodzi „wolny" rynek, który nawet urodzaj potrafił zamienić na klęskę.

Taki rynek ze swą „wolną", „swobodną" grą cen już nigdy w Polsce nie powróci, nie ma mowy o osłabieniu regulującej roli państwa na rynku

Bo „do czego prowadzi osłabienie regulującej roli państwa w dziedzinie wymiany towarowej? Do wzmocnienia elementów żywiołowości, anarchii wolnorynkowej, spekulacji, czyli do wzmocnienia elementów kapitalistycznych".

A sprawa stoi tak, że „spójnia gospodarcza między klasą robotniczą i chłopstwem, będąca podstawą spójni politycznej tychże, podstawą sojuszu robotniczo-chłopskiego — może się wzmacniać i rozwijać tylko w warunkach ograniczenia elementów kapitalistycznych, a natomiast narażona jest na niebezpieczeństwo w warunkach odradzania się i wzmacniania tych elementów". (Bierut).

Wolną więc sprzedaż nadwyżek towarowych, pozostałych chłopu po wykonaniu obowiązku przymusowych dostaw, organizuje się po to, aby wzmocnić, a nie po to by osłabić spójnię między miastem a wsią, po to, aby osłabić i ograniczyć, a nie umocnić elementy kapitalistyczne: kułaków i spekulantów.

Dlaczego *trzeba* ją wprowadzić? Jaka jest obecnie sytuacja w rolnictwie?

Rolnictwo nasze daje dziś krajowi globalną produkcję wyższą o 116% od produkcji roku 1946 (pierwszego po zakończeniu działań wojennych) gdy ogromnej większości narodu — przypomnijmy to sobie — brakowało chleba, nie mówiąc już o mięsie czy tłuszczu i gdyby nie wielka pomoc żywnościowa ZSRR głód panowałby w Polsce. W porównaniu do globalnej produkcji przedwojennej produkcja rolna w roku 1951 (którą dziś zjadamy) jest mniej więcej równa.

Czy to znaczy, że towarowa (to znaczy przeznaczona na sprzedaż) produkcja rolna jest dziś wyższa niż przed wojną. Nie, tego powiedzieć nie można. Bo przed wojną podaż rynkowych nadwyżek wnoszona na rynek przez ogromną większość biedoty i znaczną część średniorolnych chłopów miała charakter wyraźnie głodowy. Wszak w Polsce wg obliczeń prof. Czekanowskiego, było zaledwie 27% sytych, 40% niedożywionych, a co najmniej 33% stale głodnych. Popatrzmy np. na cyfry spożycia z r. 1938 w 5 rodzinach chłopskich (Olejarzy, Kopciów, Ziębów, Kramarzy i Kozłów) z pow. Nisko, Kolbuszowa i Rzeszów, ogłoszone przed wojną przez Instytut Puławski. Mleka w tych rodzinach spożywano na głowę rocznie 190 litrów, masła 0,68 kg, jaj 19 sztuk, mięsa 3,3 kg, słoniny 1,5 kg. Jasne, skąd to się brały przed wojną duże nadwyżki towarowe drobnych i średniorolnych gospodarstw.

Dziś chłop mało i średniorolny odżywia się o wiele lepiej.

Te same (a wielokrotnie już powiększone) rodziny Olejarzy Kopciów, Ziębów, Kramarzy, Kozłów spożywały już przeciętnie *na głowę* — w r. 1951: mleka — półtora raza tyle, masła i jaj blisko sześć razy tyle, mięsa — przeszło pięć razy tyle, słoniny blisko trzy razy tyle co w r. 1938.

Chłopi pracujący jedzą dziś znacznie lepiej niż przed wojną i to napawa nas słuszną dumą i radością.

Ale co zrobić aby: chłopi i robotnicy *jednocześnie* mogli się znacznie lepiej odżywiać jak przed wojną? Co zrobić, aby podnieść towarową produkcję rolnictwa? Droga do tego jedna, potwierdzona zwycięskim doświadczeniem ZSRR, który np. w ciągu drugiej pięciolatki podniósł swą globalną produkcję rolną o 100%, a towarową o blisko 60%. Drogę tę otwiera rozwój gospodarki socjalistycznej, a więc PGR i spółdzielni produkcyjnych. Ale proces przebudowy rolnictwa, to proces trudny i długotrwały, a robotnicy i chłopi chcą i słusznie chcą również w okresie przebudowy tego rolnictwa, kiedy jeszcze drobnotowarowa gospodarka w rolnictwie z początku przeważa — odżywiać się lepiej.

Z roku na rok coraz więcej surowców rolniczych pragnie również otrzymywać nasz szybko rosnący przemysł.

(dokończenie na str. 6-ej)

ANDRZEJ SKIBA

Czarne i białe złoto

OD wschodnich wybrzeży Atlantyku po Zatokę Perską i Ocean Indyjski ciągnie się tysiącami mil długi pas ziemi żyznej, skąpanej w podzwrotnikowym słońcu, zdolnej do trzykrotnych w roku urodzajów i kryjącej w swym jądrze olbrzymie bogactwa kopalniane. Mimo to ludność, bez reszty niemal rolnicza, żyje w skrajnej nędzy, próżno walcząc ze słońcem, które powinno być źródłem siły, próżno walcząc z pustynią, której ruchome piaski niosą śmierć, chociaż mogłyby rodzić życie. Ludność ugina się w pracy nad siły i — nie dla siebie. Przekleństwem jest dla niej to, co garści obcych zapewnia milionowe zyski — czarne i białe złoto.

Czarne złoto — nafta — tryska na Środkowym Wschodzie, zwłaszcza w Iraku i Iranie. Egipt jest dostawcą najwyższych gatunków bawełny — białego złota. Dalej na zachód, na terenach Tunisu, Algieru i Maroka ciągną się złoża fosfatów, magnezytów i innych cennych surowców strategicznych. Imperialiści angielscy, francuscy i amerykańscy od dawna już toczą ze sobą zaciekłe walki o władztwo nad tym obszarem, o wpływy na wąską i wątłą warstwę rządzącą, miejscowych feudałów, pozbawionych sił własnych i bazy społecznej i czerpiących swe siły z oparcia o obce bagnety i czołgi.

W jednym tylko walczący rywale przejawiają zupełną solidarność: we wspólnym ucisku ludności, w dbaniu, aby analfabetyzm nie spadł poniżej złowieszczej cyfry 80 proc., w niedopuszczaniu do uprzemysłowienia gnębionych krajów. Tu i ówdzie czyni się wyjątek — gdy chodzi o przemysł zbrojeniowy. Tak powstała niedawno w Egipcie filia zakładów Forda. Pozorne te wyjątki są jednym jeszcze potwierdzeniem bezwzględnie stosowanej zasady: rynek zbytu imperialistów importuje wszystko, nawet benzynę z własnej ropy naftowej.

Rywalizacja wielkich monopoli wzmogła się po drugiej wojnie światowej, gdy kapitał amerykański, korzystając z baz wojennych zagarniętych pod pretekstem walki z faszyzmem, przystąpił do wypierania broniących się zaciekle koncernów francuskich, a zwłaszcza brytyjskich. Równocześnie zaś wzmógł się terror w stosunku do ludności. Albowiem „na Bliskim i na Środkowym Wschodzie — zgodnie ze słowami Pietro Nenni na II sesji Światowej Rady Pokoju — jak również w innych krajach Azji i Afryki zrywa się wicher niepodległości i wyzwolenia społecznego. Świat muzułmański jest w ruchu. Arabowie chcą być gospodarzami u siebie. Nie godzą się na wymianę dawnego władztwa angielskiego, czy francuskiego na amerykańskie okowy, zamianę „protektoratu" tamtych na „opiekę" nowych panów. Od Iranu po Egipt i Tunis chcą żyć jako ludzie wolni w warunkach pokoju".

Trzy czwarte ludności Egiptu stanowią chłopi bezrolni i małorolni, których stan posiadania wyraża się przeciętną 0,12 ha na rodzinę. Aby wyżyć, biorą w dzierżawę ziemię obszarniczą, ale mogą zachować tylko 1/3 zbiorów dla siebie. Resztę zabiera właściciel. Nic dziwnego, że nieuprzemysłowiony Egipt liczy ponad milion bezrobotnych, że najwyższe płace w przemyśle nie dosięgają nawet minimum egzystencji, a śmiertelność, po Indiach, jest najwyższa w świecie. I takie same stosunki panują we wszystkich krajach arabskich.

Ale w Egipcie związki zawodowe liczą ponad 600.000 członków. A terror władz spotyka się z coraz większym oporem, rosną wpływy partii komunistycznej, a cały ruch narodowo-wyzwoleńczy łączy coraz wyraźniej, coraz bardziej zdecydowanie swą sprawę ze sprawą pokoju, wiąże swą akcję z ruchem międzynarodowym proletariatu, nabiera cech internacjonalizmu, odcina się od nacjonalistycznej ideologii miejscowej burżuazji. Ruchy chłopskie mają jeszcze co prawda charakter żywiołowy, ale są już u progu ukształtowania się w formy zorganizowane. Nienawiść do cudzoziemców kojarzy się z rosnącą świadomością klasową i rewolucyjną. I dzieje się tak we wszystkich krajach arabskich.

Imperializm szuka ocalenia w powoływaniu do władzy coraz bardziej reakcyjnych czynników. Poseł USA w Egipcie sprowokował ostatnio trzeci z kolei przewrót pałacowy w ciągu półrocza, wynosząc do steru rządów niemal otwarcie faszyzującego Sirry-paszę. Przewrotów będzie zapewne więcej, gdyż cały gmach panowania imperialistycznego wznosi się dziś na ruchomych piaskach rosnącego ucisku i przygotowań wojennych. „Kryzys rewolucyjny — mówił Stalin jeszcze w roku 1934 — dojrzewać będzie tym prędzej, im bardziej burżuazja będzie zaplątywać się w swoich kombinacjach wojennych, im częściej będzie uciekać się do terrorystycznych metod walki z klasą robotniczą i pracującym chłopstwem".

Kryzys rewolucyjny dojrzewa w świecie arabskim. Nad czarnym i białym złotem wznosi się coraz wyżej czerwony sztandar wolności.

Andrzej Skiba

ZBIGNIEW ZALEWSKI

ZA DRUTAMI KOLCZASTYMI...

Maj, 1945 r.

NIE śpię już od pół godziny. W hotelu „Welfare" panuje jeszcze cisza nocna, lecz dobiegające krzyki z pobliskiego bazaru przypomną gościom, że dzień nowy trzeba przywitać pogodnym uśmiechem lub smutnym sporządzaniem bilansu doznań dnia poprzedniego. Ciepły wiatr niesie przez otwarte okno zapach słonych ryb, homarów i subtelną woń owocu mango. Orgia zapachów ożywia masę wspomnień z

wędrówek po mieście. Zapowiada i nęci nowymi doznaniami europejskich gości z hotelu „Welfare".

Oto mój sąsiad, otyły angielski kapitan statku „Britannic" wychyla swą do morsa podobną twarz i spotykamy się w oknach zaspanymi jeszcze oczyma.

— How are you? — krzyczy machając kosmatą łapą i rzuca we mnie cygarem tak niezręcznie, że przechodzący pod oknami hotelu sprzedawca mango, zostaje trafiony w nadstawioną rękę, w którą nasza posługująca, Saida, zamierza włożyć mu kilka piastrów. Chłopak odsuwa koszyk wonnych owoców i z przymrużeniem szelmowskich oczów przypala cygaro. Naśladuje gesty kapitana, pocieszniе spluwając po marynarsku, a potem krzyczy: „how do you do" i zabierając koszyk z mango, znika w pobliskiej bramie.

Po kwadransie część gości spotyka się w holu, prowadzącym do restauracji. Wytworne kobiety otaczają smukłego lotnika Włocha, służącego w RAF-ie. Ma czarne oczy, często powtarza „Madonna, signora", wieczorami nuci arie z „Poławiaczy pereł". Wonne omlety, sporządzone z francuska szybko znikają z biało usłanych serwetami stołów. Goście teraz delektują się wspaniałą turkisch-coffee. Roznosi ją smukły Sudańczyk w czystej jak śnieg sukni i czerwonym fezie.

Pozbywszy się towarzystwa kapitana „Britannica" wychodzę na krzykiem roztętniony Kair.

Saida mijając mnie w holu przypomina, bym nie zapomniał beretu z białym orłem. Od kilku już tygodni panują bowiem nagonki na anglosaskich żołnierzy. Polacy są jeszcze przez tubylców traktowani względnie. Arabowie, będąc dobrymi psychologami, spostrzegli protekcjonalny do nas stosunek Anglików i dystans, jaki się zaczął wytwarzać.

Ulicą Soliman Paszy idę w kierunku dzielnicy Babiluk. Wielkie, europejskie domy przechodzą stopniowo w brudne dwu i jednopiętrowe budynki. Zakazana dzielnica. Rozglądam się, czy nie widać gdzie żandarmerii. Właśnie pancerne auto zbliża się w moją stronę, więc szybko wchodzę do arabskiej kawiarenki. Panuje w niej niczym nie zmącona nuda przedpołudniowa. Chmary much wpadają wprost do gardła. Ludno tu będzie dopiero wieczorem, gdy robotnicy arabscy przyjdą przepalać swoje 5 piastrów, pozbawiając swe rodziny i tak już nędznej wieczerzy składającej się z bobu i kukurydzy. Nałóg palenia opium i haszyszu ogarnia pokaźną część biednej ludności arabskiej.

Na mój widok Arabowie unoszą głowy okręcone w szmaty turbanów.

— Salem alejkum — witam ich ojczystym językiem. — Alejkum salem! — odpowiada mi jeden głos.

Reszta milczy i nie zwracając najmniejszej uwagi na białego orła, lśniącego na czarnym berecie, żuje przekleństwo pod adresem Anglików. Dopiero mój płynny arabski język powoduje bardziej znośną atmosferę.

— Ty jesteś bardziej mądry, niźli stu Anglików — szepce ze wschodnią przesadą chudy właściciel kawiarni — należy do nich mówić po arabsku, oni nie znoszą tego gulgotania białych sahibów.

Potem bierze za kołnierz jakiegoś żebraka i robi mi przejście w pobliżu kontuaru, gdzie pęk złocistej mimozy zawzięcie obsiadły olbrzymie muchy. Żebrak jest ślepy i kuśtykając w stronę wyjścia potrąca nogi Arabów, wreszcie usadawia się tuż przy wyjściu w proszącej pozie. Jego piskliwy głos nie milknie ani na chwilę, brzmi jak skarga, górując nad gwarem kawiarni.

Tego dnia jest więcej niźli wczoraj młodych Arabów. Przyglądam się ich twarzom z wzrastającym zaciekawieniem. Szczególnie przyciąga mą uwagę 25-letni może mężczyzna ze znaczkiem studenckim, wpiętym w czerwony fez. Siedzi w otoczeniu młodych i starych robotników, mówiąc głośno spogląda często w mą stronę. Oczy jego nie są nienawistne, lecz raczej pełne ironii i pogardy, jaką żywią wszyscy mieszkańcy Kairu do białych przyjaciół angielskich okupantów. Opowiada o przeczytanych ostatnio komunikatach, ogłaszających zajęcie Berlina. Zwolennicy Wielkiego Mufftiego odchodzą z urażonymi minami. Reszta Arabów z zasłuchanym wyrazem twarzy nadal otacza wokół mówcę. Padają słowa: zwycięstwo, Czerwona Armia... Arabowie pochylają głowy, odsłaniając w uśmiechu białe zęby. I patrzą mi prosto w twarz, z błyskami ironii w oczach.

Atmosfera zwiększającej się wrogości każe mi opuścić kawiarnię.

W drzwiach hotelu spotkałem znów Saidę. Różniła się od reszty dziewcząt służących w „Welfare". Jej ręce pozbawione tatuaży, miast zdobnych bransolet, dźwigały dyskretnie gazetą nakryte książki. Nocami często świeciła się lampka w jej małym pokoiku i po każdej niedospanej nocy oczy, mimo dużego zmęczenia, nabierały dziwnego blasku i mocy. Nie trudno domyślić się treści czytanych książek. Jeśli arabska dziewczyna zadała sobie tyle trudu, by nocami nauczyć się czytać, to na pewno nie po to, by upajać się romansami. Zresztą do romansów miałaby ona co dzień sporo okazji w hotelu „Welfare".

Mój sąsiad, kapitan „Britannica", często wracał holem, pod rękę z pokojówką Albe, śliczną i głupią. Zresztą nie tylko Albe była gościem kapitana. „Mors" sprowadzał do swego pokoju całe orszaki kobiet z domów publicznych. Dziel-

nica Babiluk posiadała swoją ulicę „Rozkoszy', jak każda dzielnica zakazana.

Saida imponowała mi swoją, powiedziałbym, politycznie zdecydowaną postawą. Odparowywała zawsze niemal bezczelne spojrzenia naszych Anglików i coraz częściej wygłaszała takie zdania: — To wasza wina, to wy doprowadzacie do rozpusty — to wasza kultura!

Odpowiadano jej śmiechem, często nawet szturchańcem.

Pewnego dnia, wracając z dzielnicy Zamalików, dzielnicy zamożnych arabskich kupców i białych dyplomatów, wstąpiłem do fryzjera przy ulicy Ibrahim Paszy.

Młody fryzjer miał minę, jakby był przygotowany nie do golenia, a raczej do zarżnięcia każdego klienta w angielskim uniformie. Zrobił jednak zapraszający ruch ręką i spytał zgoła sympatycznym tenorem. — Pan chce się golić, czy strzyc? — Och, jak piekielnie jestem zmęczony — taka gorączka! Czerwiec dochodził pełni. Mdły zapach egzotycznych akacji do reszty utrudniał oddech i normalne poruszanie się po mieście. Tragarze bawełny i trzciny cukrowej chylili nisko swe suche plecy drepcząc jezdniami szerokich ulic śródmieścia, raz po raz przepędzani klaksonami eleganckich limuzyn.

Tymczasem fryzjer ukończył golenie i począł gmerać przy zepsutym rozpylaczu wody kolońskiej. Po kilku nieudanych manipulacjach niespodziewanie nabrał wprost wody w usta i parsknął ze śmiechem w moją namydloną twarz. Poczułem zapach rodzynek i migdałów, rozpryskanych cząstkami po mej fizjognomii. Był to jaskrawy dowód lekceważenia. Podobne przygody przytrafiały się coraz częściej osobom w angielskich mundurach. Anglicy nie odwiedzali już lokali arabskich, spędzając całe dnie w lokalach N.A.F.F.I. Zresztą i tam docierały z ulicy wyzwiska, a nierzadko dochodził brzęk tłuczonych szyb i krzyki żandarmerii, usiłującej opanować coraz większe tłumy manifestantów. Arabowie domagali się jak najrychlejszego wymarszu wojsk okupanta.

Pewnego dnia, z samego rana, usłyszałem w hotelu „Welfare" niesamowity krzyk i tumult. Wybiegłem do holu i ujrzałem rozwścieczonego właściciela „Welfare". W jednej ręce trzymał w węzły spleciony ręcznik, a w drugiej kołnierz małego sprzątacza Holi Elkalajego.

Bity chłopak ugryzł nagle żylastą rękę swego oprawcy. Dopadłem do starego i uderzyłem go tak fatalnie, że potoczyłem się wraz z nim schodami aż na kamienną posadzkę dolnego holu. Właściciel dźwignął się z wielkim trudem i jak gdyby to on był sprawcą niespodziewanego upadku, począł mnie otrzepywać i przepraszać, zerkając na moje trzy paski lśniące na naramiennikach:

— Effendii, o jak mi przykro — mówił, a raczej wykrztuszał rozcierając sobie otłuczone łokcie. Potem zrobił taką minę, jakby sobie coś bardzo odległego przypomniał i rzekł:

— Aaa... wie pan, ten mały szczeniak ściąga ze stołów serwety i sprzedaje je za bezcen na wódkę, a do tego, pijany wykrzykuje pod moją sypialnią: — Ja jestem biały, ośle arabski! — Potem pokazuje mi zadek bym sprawdził, że w istocie ta czarna małpa jest biała!...

Sepleniąc i chrapiąc, wśród nieustannego przepraszania właściciel „Welfare" wycofał się tyłem w głąb holu.

W pokoju zastałem listonosza. Wręczył mi plik listów z Polski. Na widok pieczęci warszawskiej poczty rozpłakałem się jak dzieciak.

Po wielokrotnym odczytaniu listów, skoczyłem do pokoju kapitana W nozdrza uderzył mnie zapach cygar i brandy, zmieszanej z ordynarną whisky.

— Siadaj! — krzyknął do mnie tubalnym głosem, a odtrącając ogłupiałą Albe spoważniał naraz, poprawił kapitańskie epolety i opadł z godnością na głęboki fotel.

— Wyjdź, Albe — rozkazał dziewczynie. Wybiegła dzwoniąc kilkoma piastrami w zaciśniętej dłoni.

Począłem mówić rozgorączkowanym głosem o mojej decyzji powrotu do kraju. Że matka moja żyje. Że tam czekają na mnie...

Wzrok jego ze zdumionego zmienił się we wściekły: — Ente komunista — wykrzyknął, ni stąd ni zowąd po arabsku. — Ha! ha! ha! — wracać do Polska, kochana ojczyzna uzbeka i ruska! Ha! ha! ha!

Wyszedłem, kapitan stanął w drzwiach, wykrzykując za mną na cały głos obelgi. Chciałem się wrócić i dać mu w twarz. Ale pomyślałem, że szkoda ręki. Odwróciwszy się popatrzałem na niego tak, że umilkł.

Na drugi dzień Saida zapukała do mego pokoju. Przez otwarte okna wpadł pierwszy promień słońca i odbił się w oczach wchodzącej dziewczyny.

— Mango, mango, homary! ryby! — krzyczał pod oknami przechodzący handlarz arabski.

— Dzień dobry panu! — uśmiechnęła się do mnie pierwszy raz. Zauważyłem, że w tym uśmiechu jest prawie piękna.

— Kawa, czy mleko? — pytała mnie spuszczając roześmiany wzrok z moich zdziwionych oczu.

— Aha — pomyślałem naraz o wczorajszej awanturze z kapitanem — na pewno wszystko słyszała...

Od tego czasu stosunek służby do mnie zmienił się. Wszyscy byli bardziej uprzejmi i z ciekawością spoglądali mi w oczy.

Gdy opuszczałem na zawsze hotel „Welfare", Saida chwyciła mnie za rękę i rzekła: — Wie pan, ja też odchodzę z tego przeklętego hotelu. Proszę zajrzeć do mego pokoiku. Będzie panu wszystko jasne.

Jej gwałtowne zachowanie i ton głosu spowodowały, że szybko zszedłem po schodach i znalazłem się w drzwiach rudery, nazywającej się szumnie „pokojem dla personelu".

We wnętrzu panował nieład, wśród którego skakał jak opętany właściciel hotelu depcząc jakieś kartki. W ręku trzymał na

pół przedartą reprodukcję przedstawiającą czołgistę radzieckiego. Sprawa z Saidą przybrała postać dziejowej burzy. Opaśli sąsiedzi „Welfare" przychodzili by załamywać ręce nad „rozpustą" służących. „Rozpustą" nazywały się przekonania wolnościowe. Przychodzili do pokoju Saidy i oglądali wściekłymi, to znów przerażonymi oczyma strzępy książek.

W korytarzu stała Saida, spakowana do odejścia. Małą walizeczkę oparła o ścianę, przymknęła powieki, blada i zmieszana. Ale gdy nagle popatrzała na mnie, dostrzegłem w jej spojrzeniu zaciętość.

Po pewnym czasie znalazłem się w Tranzit-Camp przydzielonym dla repatriantów.

Obóz leżał w dorzeczu Nilu w pobliżu miasteczka Ismalil. Obóz odwiedzali angielscy oficerowie, wygłaszając długie i nudne odezwy ministra Bevina.

(dokończenie na str. 6)

JULIAN STAWIŃSKI

WATYKAN

23 listopada 1939 r. Hitler zakomunikował generałom decyzję zagarnięcia Francji i powalenia na kolana Anglii w celu rozciągnięcia hegemonii Niemiec na całą Zachodnią Europę. Tegoż dnia w New Yorku Thomas Lamont — ten sam, który w styczniu 1919 r. entuzjastycznie popierał zatwierdzony przez Radę Ententy plan pochodu na Moskwę, dzieło znanego z Brześcia generała Hoffmanna — w obszernym przemówieniu kreślił zarysy ujętych później w plan Marshalla i Pakt Atlantycki Stanów Zjednoczonych Europy, rządzonych przez USA, a spojonych wspólnym zadaniem — walki ze Związkiem Radzieckim. Niemal równocześnie powstał w Londynie projekt konkurencyjny — Europejskiej Federacji Gospodarczej. Cel był ten sam, ale kierownictwo spoczywać miało w doświadczonym ręku W. Brytanii. Kłótnie rodzinne są najuporczywsze — wielkie monopole nie mogły się dogadać.

W tydzień później wybuchła wojna między ZSRR a Finlandią. Sposobność zdawała się wymarzona. Namiestnik Chrystusa w orędziu wigilijnym nawoływał ludzi dobrej woli, urodzenia i majątku do wzajemnego zapomnienia uraz i zgładzenia ich krwią i ciałem narodów odmawiających uznania dogmatu o świętym i nietykalnym prawie wielkiej własności. Mowa orędownika faszyzmu wywołała żywy odgłos wśród akcjonariuszy świata rzymsko - kapitalistycznego. Cichy wspólnik „cudu nad Wisłą", dobyty z naftaliny gen. Weygand odezwał się z Bliskiego Wschodu i podtrzymując swą renomę cudotwórcy zapowiedział: „Przy pomocy niewielkich posiłków i paruset samolotów zajmę Kaukaz i wkroczę do Rosji jak w masło!"

Nie zdążył, nie doczekał się. Doczekał się natomiast wkroczenia hitlerowskich dywizji pancernych, które jak w masło werżnęły się w blindaże linii Maginota i sięgnęły do serca Francji. „Dziwna wojna" skończyła się wcale nie dziwną kapitulacją.

Okres wojny finlandzkiej wykorzystał Waszyngton dla wysłania dwóch misyj: owocem jednej było wydanie książki, drugiej — zawarcie trwałego odtąd sojuszu. Zastępca sekretarza stanu, Sumner Welles przybył w lutym 1940 z t.zw. misją pokojową. Przywiózł ze sobą plan wyłożony przez Lamonta i starał się pozyskać dla niego kanclerie Londynu i Paryża, Rzymu i Berlina. „Zarówno w krajach demokracyj Zachodu — pisał później Welles — jak i w Nowym Świecie widziano w hitleryzmie zaporę przeciw komunizmowi". Ale każdy z imperializmów rościł sobie pretensje do hegemonii w bloku antyradzieckim i do porozumienia nie doszło. Summer Welles gorycz swoich doświadczeń ujął w formę głośnej w owym czasie książki „Time for decision" (Czas rozstrzygnięć), w której ubolewał nad krótkowzrocznym egoizmem swych partnerów.

Znacznie więcej szczęścia miał inny przedstawiciel Roosevelta, osobisty wysłannik przy Watykanie, Myron Taylor. Ale też były prezes morganowskiej USSteel udawał się nie do konkurenta, ale do mądrego doświadczonego wspólnika. Kuria rzymska od lat już znaczną część swych kapitałów trzymała w banku Morgana, który obracał nimi w sposób nie pozostawiający nic do życzenia. Polityka papieska zmieniła się również z biegiem czasu. Nie stawiała już teraz na strupieszałe ustroje i klasy feudalne, dla których zachowała tylko tradycyjne sympatie. Papież sam z dawna stał się wielkim kapitalistą i pełne ma zrozumienie dla bardziej udoskonalonych form wyzysku i rządów. Wierni, jak robotnicy w fabryce, jak żołnierze w wojsku, służą za podstawę potęgi, która jednak istnieje nie dla nich, której warunkiem bytu jest utrzymanie ich w ryzach. I sojuszników szuka i dobiera Stolica Apostolska wśród potęg, które moc swoją zbudowały na tych samych metodach i założeniach. W wieku XX sprzymierzeńcem jest rozdający koncesje gospodarcze sułtan muzułmański, szyntoistyczny akcjonariusz koncernów Mitsubisi--Hirohito i udziałowiec monopoli niemieckich, wyznawca starogermańskiej Walhalli; jak w XIX stuleciu był nim prawosławny samodzierżca Wszechrosji, anglikańska władczyni kolonii i złota oraz jej protestanckl, kulturkampfowy wnuk. Okres gwałtownego i burzliwego rozkwitu kapitalizmu to zarazem okres wyraźnej modernizacji struktury i metod „niewidzialnego mocarstwa". Watykan pierwszy wprowadził Führerprinzip, gdy na soborze w r. 1870 złamał opór oligarchicznej większości wyższego kleru i narzucił dogmat nieomylności papieskiej. Pierwszy też — w encyklice Leona XIII Rerum novarum — proklamował zasady korporacyjnego państwa faszystowskiego. W księdze głównej wikarego świętego Piotra, gdzie po stronie „Ma" figuruje liczba wiernych i skonsolidowana wartość wpływów religijnych, czyli surowca i narzędzi tej fabryki wiary — po stronie „Winien" od dawna już przestano wpisywać heretyków i pogan, umieszczając w ich miejsce listy proskrypcyjne wyznawców człowieka, rejestry postępowej myśli ludzkiej; od Kopernika i Giordana Bruno po Marksa i Lenina, od buntów chłopstwa niemieckiego po wielki przełom Października. Toteż nie ma nic nienaturalnego w aliansie Watykanu i Wall Street. To przymierze dwu serc reakcji leżało w ich naturze, było koniecznością niejako fizyczną. Musiało nastąpić, jak kamień rzucony z góry musi opaść na ziemię.

W pertraktacjach prowadzonych pod czujną i życzliwą opieką Jego Świętobliwości, obok Taylara wziął udział arcybiskup Westminsteru Griffin i Joseph Mueller, przedstawiciel Niemieckiej Partii Katolickiej, w porozumieniu z Piusem XII popierającej teraz bez zastrzeżeń Hitlera. Wiceszef kontrwywiadu niemieckiego Gisevius zeznał później w Norymberdze, że zawarto wówczas „gentlemen agreement" — porozumienie przewidujące pokój na Zachodzie pod warunkiem wspólnej akcji przeciw ZSRR. Porozumienie pozostało na razie martwą literą z powodu zbyt wielkich apetytów wszystkich gentlemanów. Poza tym Hitler grał va banque, Anglia obawiała się Stanów Zjednoczonych, te ostatnie zaś chętnie widziały obu rywali w potrzasku wzajemnych zmagań, co zapewniało imperializmowi USA olbrzymie zyski i automatyczny niemal wzrost przewagi. Z faktów tych zdawał sobie znakomicie sprawę Watykan: z rokowań Taylora narodził się kartel ideologiczny wsparty na autorytecie najbardziej miarodajnych czynników zaświatowych i jeszcze bardziej miarodajnym autorytecie dolara. Skarbiec duchowy świętego Piotra połączył się ze skarbcem finansowym John Pierpont Morgana i innych patronów Wall-Street tworząc najbardziej jak dotąd trwałą i zgodnie działającą spółkę.

W niespełna trzy lata później Stalingrad rozstrzygnął o losach cywilizacji europejskiej. Pełen przerażenia zjawił się w Rzymie arcybiskup New Yorku Spellman. W rozmowie ze swym liturgicznym zwierzchnikiem a politycznym podwładnym stwierdził zupełną zgodność jego poglądów z dążeniami mocodawców amerykańskich, a nawet z treścią sugestii przybyłego pośpiesznie Ribbentropa. Zabrał ze sobą list odręczny Ojca Świętego do Roosevelta zawierający propozycje pokoju: Hitler przeprowadzi „radykalne zmiany w składzie rządu", Mussolini zostanie usunięty przy utrzymaniu jednak zasad ustrojowych, we Francji rządy autorytatywne będą zachowane, wolna ręka dla Niemiec na Wschodzie, zaniechanie wszelkich planów drugiego frontu.

Propozycja była nęcąca, lecz trudna do przyjęcia. Narody świata dawno już wydały wyrok na hitleryzm — obecnie oczekiwały jego wykonania. Ponadto Hitlerowi nadal nie można było dowierzać. A wreszcie wojna na zachodzie, nawet taka jaka się toczyła, wyczerpywała Anglię, zaś Stanom Zjednoczonym zapewniała zyski większe nawet niż się spodziewały; toteż nie kwapiły się do jej zakończenia. Skwapliwie natomiast odroczono — wbrew uroczystym zobowiązaniom — utworzenie drugiego frontu. Uwiadomione o tym dowództwo Wehrmachtu przerzuciło na wschód wszystkie niemal trzymane nad Atlantykiem dywizje, przygotowując ofensywę kurską, która zakończyła się ostateczną katastrofą armii faszystowskiej.

Julian Stawiński

ROMAN ZAMBROWSKI

ZADANIA KORESPONDENTÓW CHŁOPSKICH

(Fragment z referatu na Krajowym Zjeździe Korespondentów Chłopskich)

TRZEBA—**po pierwsze** — aby korespondenci włączyli się w pełni w pracę nad wydobyciem wszystkich rezerw, jakie dają się uruchomić w naszej gospodarce chłopskiej, aby zapewnić wzrost produkcji w tych gospodarstwach.

„Nie mają racji towarzysze — pisał towarzysz Stalin w 1928 r., — **którzy twierdzą, że drobne gospodarstwo chłopskie wyczerpało możliwości swego dalszego rozwoju i że zatem nie warto mu dalej pomagać. Jest to zupełnie niesłuszne. Indywidualne gospodarstwo chłopskie ma jeszcze niemało możliwości rozwoju. Trzeba tylko umieć pomagać mu w realizowaniu tych możliwości".**

Wiosną bieżącego roku rząd, partia i ZSL postawiły przed aktywem chłopskim szereg konkretnych zadań w akcji siewnej.

Rząd dostarczył gospodarstwom chłopskim więcej ziarna siewnego i sadzeniaków, więcej nawozów. Ale wskazał zarazem całemu aktywowi na konieczność większej troski o ich rozprowadzanie, o przygotowanie sprzętu i maszyn do siewu, o upowszechnienie wiedzy rolniczej. Hasło: „Pełny i terminowy zasiew — sprawą honoru każdej gromady", walka o likwidację odłogów — były realizowane w olbrzymiej większości gromad. I jeśli wbrew kapryśnym i nienormalnym warunkom atmosferycznym — spodziewamy się, że urodzaj zbożowych w tym roku będzie nie gorszy, a nawet nieco lepszy niż w zeszłym roku — to widzimy w tym również skutek wzmożonego wkładu pracy aktywu partyjnego i społecznego oraz naszej prasy w walkę o wzrost produkcji roślinnej.

Nie wolno ustawać w tej walce. Żniwa winny dać wysokie plony — winny być uwieńczeniem wysiłków całego roku.

Trzeba, aby nasza prasa i jej korespondenci bili się o sprzęt zbóż w terminie, o wzorowe wykonanie żniw przez PGR, o pełne wykonanie umów ze spółdzielniami przez POM-y, o maksymalną sprawność traktorów i maszyn żniwnych, o zawarcie przez GOM-y jak największej ilości umów z chłopami.

Trzeba, aby nasza prasa i jej korespondenci bili się o podorywki — niezmiernie ważny zabieg agrotechniczny w walce o zachowanie wilgoci w glebie i przeciw chwastom.

Trzeba, aby bili się o maksimum zasiewów poplonami i zainteresowali się rozprowadzeniem przez GS-y materiału siewnego na poplony.

IZOLOWAĆ KUŁAKÓW, OGRANICZAĆ MOŻLIWOŚCI WYZYSKU I SPEKULACJI

Po drugie — prasa i korespondenci wiejscy powinni odegrać należną im rolę w walce o wzrost towarowości gospodarki chłopskiej, o wzrost regulującej roli Państwa Ludowego, w realizacji twardego kursu na ograniczenie spekulacyjnych i eksploatatorskich zakusów kułaka.

Są to poważne zadania. Powstaje pytanie, jak korespondent może je realizować?

Kilka przykładów.

Wiadomo, jak kułactwo stara się zohydzić w oczach chłopa system obowiązkowych dostaw, jak usiłuje organizować uchylanie się chłopów od dostaw obowiązkowych i od kontraktacji. Jest rzeczą ważną, aby korespondent wyjaśnił chłopom, że powiązanie systemu obowiązkowych dostaw z kontraktacją i zniesieniem ograniczeń w obrotach wolnorynkowych nadwyżkami, które pozostają po wykonaniu dostaw obowiązkowych, jest w interesie chłopów pracujących, stanowi przykład połączenia interesów osobistych chłopów pracujących z interesami klasy robotniczej i Państwa Ludowego, a jednocześnie bije w kułaka i w spekulację. Chodzi o to, aby w toku walki klasowej kształtować świadomość klasową chłopstwa pracującego i zespolić siły przeciw kułakowi. Lenin uczył:

„Prawdziwe wychowanie mas nigdy nie może być oderwane od samodzielnej politycznej, a zwłaszcza rewolucyjnej walki samych mas. Tylko walka wychowuje klasę wyzyskiwana, tylko walka pozwala jej poznać własne siły, rozszerza jej widnokrąg, rozwija zdolności, rozjaśnia umysł, wykuwa wolę".

Chodzi wreszcie o to, aby prasa i korespondenci zwalczali oportunistyczny, liberalny stosunek do niewykonywania zobowiązań przez kułaka, i tych chłopów, którzy ulegają jego agitacji. A taki stosunek występuje jeszcze w terenowych organach władzy ludowej.

Weźmy inny przykład. Wiemy, że gdzieniegdzie elementy biurokratyczne wprowadzają praktykę narzucania w drodze nacisku chłopom kontraktacji upraw technicznych i przemysłowych. Jasna sprawa, że taka biurokratyczna praktyka nie sprzyja sprawie umocnienia spójni i korespondenci winni takich biurokratów demaskować i pisać o nich do redakcji. Z drugiej strony nie wolno też tolerować sytuacji, gdy chłopi podpisują kontrakty, a potem ich nie wykonują.

Bardzo istotną sprawą jest obrona biedoty przed wyzyskiem kułackim i okazanie małorolnym pomocy produkcyjnej.

„Kułactwo jako klasa —mówi towarzysz Bierut — **jest ostatnią redutą kapitalizmu w naszym kraju, wrogiem władzy ludowej, a więc wrogiem nie tylko robotników i biedoty wiejskiej, ale i średniorolnego chłopstwa, wrogiem całego ludu pracującego. Władza ludowa przeszkadza mu w wysysaniu sił żywotnych z biedoty wiejskiej, ogranicza, wypiera kułactwo z jego dawnych pozycji gospodarczych w produkcji i obrocie, w oparciu o które kułak mógł oddziaływać i podporządkowywać sobie również i średniorolnych chłopów. Nie wolno nam zamykać oczu na fakt, że kułactwo i dziś jeszcze stanowi na wsi poważną siłę gospodarczą, rozporządza bowiem dużym inwentarzem i dużymi nadwyżkami towarowymi, z których ciągnie znaczne zyski. Wskutek tego kułak uprawia w najróżnorodniejszych formach wyzysk chłopa mało- i średniorolnego, usiłuje zająć dominującą pozycję pośrednika — spekulanta w obrotach między miastem i wsią, uzależnić od siebie również średniaka".**

Jak poważną jest ta sprawa wskazują ostatnio obliczone przez Główny Urząd Statystyczny cyfry o ilości bezkonnych gospodarstw w Polsce, cyfry obliczone na podstawie spisu powszechnego 1950 r.

Otóż co wynika z tych nader ciekawych cyfr?

Na ogólną ilość 2.930.211 gospodarstw chłopskich w Polsce, licząc gospodarstwa już od 10 arów, mamy 680.253 gospodarstw od 10 arów do 2 ha. Z tych 680.253 gospodarstw 640.000, to są gospodarstwa bezkonne. Czyli jak widzicie prawie 95 procent w tej grupie do 2 ha to są gospodarstwa bezkonne. Od 2 ha do 5 ha mamy zaokrąglając 919.000 i w tej liczbie 481.300, to są gospodarstwa bezkonne, czyli 52 procent gospodarstw bezkonnych. Ogółem jeśli liczyć również i gospodarstwa w innych grupach to na 2.930.000 gospodarstw w Polsce mamy 1.255.000 gospodarstw bezkonnych.

Na co wskazują te liczby? Te liczby wskazują na wielkie ilości gospodarstw małorolnych w Polsce, w których nie opłaca się trzymać konia. Ale te liczby wskazują jeszcze na coś innego: na poważne rozmiary wyzysku kułackiego, bo przecież ta ziemia jest uprawiana przy pomocy konia, i w tych gospodarstwach do 2 ha i w gospodarstwach do 5 ha i ten koń najczęściej pochodzi z gospodarstwa kułackiego. A kułak jedynie za zaoranie 1 ha każe sobie płacić 200 zł.

Stąd wielkie zadania w dziedzinie ograniczania tego wyzysku i w dziedzinie okazywania pomocy małorolnym w formie organizowania pomocy sąsiedzkiej oraz pomocy GOM, wielkie zadania, które w tej dziedzinie stoją przed radami narodowymi i przed Samopomocą Chłopską i przed całym aktywem chłopskim — przed prasą chłopską, przed korespondentami wiejskimi.

O DALSZY ROZWÓJ SPÓŁDZIELCZOŚCI PRODUKCYJNEJ

Po trzecie — poważną rolę ma do spełnienia prasa wiejska i jej korespondent w walce o umocnienie organizacyjne i gospodarcze PGR-ów, POM-ów i spółdzielni produkcyjnych, w walce o dalszy rozwój spółdzielczości produkcyjnej.

To jest sprawa decydująca, bo drobne gospodarstwa chłopskie nawet przy najbardziej idealnym rozwoju agrotechniki nie są w stanie w pełni zaspokoić rosnących potrzeb socjalistycznego przemysłu i potrzeb ludności i miejskiej i wiejskiej.

Wyższość gospodarki spółdzielczej zespołowej nad indywidualną ujawnia się już przy zwykłym połączeniu środków produkcji i siły roboczej. Mówił kiedyś już o tym Karol Marks, że podobnie jak siła ataku szwadronu konnicy jest znacznie większa od sumy sił ataku, jaką zdolni są rozwinąć poszczególni kawalerzyści, tak samo siła kolektywu znacznie przewyższa mechaniczną sumę sił poszczególnych pracowników.

Ale wyższość gospodarki zespołowej, spółdzielczej nad gospodarką indywidualną ujawnia się z całą siłą po uzbrojeniu jej w nowoczesną technikę, w traktory i inne wielkie wydajne maszyny, których nie można skutecznie wykorzystać w drobnotowarowym gospodarstwie, a które w wielkim zespołowym gospodarstwie stanowią znakomite ułatwienie w pracy i znacznie podnoszą jej wydajność. *(Oklaski. Okrzyki: Niech żyją i rozwijają się nasze spółdzielnie produkcyjne)*

Mimo swej młodości nasze spółdzielnie produkcyjne osiągnęły już poważne rezultaty.

Plony w naszych spółdzielniach, dzięki pomocy POM-ów, są przeciętnie o 20 procent większe, niż w gospodarstwach indywidualnych a mamy już prawie 600 spółdzielni produkcyjnych, w których plony zbóż przeciętnie są wyższe niż 15 q, mamy 140 spółdzielni produkcyjnych, w których plony przeciętnie osiąga się ponad 21 q. W ciągu ostatniego roku poważnie rozwinęła się też w spółdzielniach hodowla bydła, trzody i owiec.

Chłopi w spółdzielniach produkcyjnych nie znają wyzysku kułackiego. W miarę organizacyjnego i gospodarczego umacniania się spółdzielni produkcyjnych rośnie majątek spółdzielczy i dochody spółdzielców. Po zrobieniu pełnego obrachunku gospodarczego w 1500

FOTO CAF

spółdzielniach II i III typu okazało się, że w 300 spółdzielniach produkcyjnych na 1 rodzinę przypadało 20 — 30 q zboża nie licząc dochodów pieniężnych, a w 189 spółdz. prod. dochód na rodzinę wynosił ponad 30 q zbóż, również nie licząc dochodów pieniężnych. Dochody takie osiągają w spółdzielni produkcyjnej nie tylko chłopi średniorolni, ale również i małorolni.

W spółdzielniach produkcyjnych nie ma oczywiście miejsca na problem bezkonnych. Biedota, która przystąpiła do spółdzielni produkcyjnych zamienia się w ludzi dobrze uposażonych.

W ciągu ostatniego roku mieliśmy nieuzasadnione zahamowanie rozwoju ilościowego spółdzielczości produkcyjnej. Był to z jednej strony wynik oportunistycznego cofania się aktywu terenowego przed trudnościami, które powoduje antyspółdzielcza agitacja kułacka. Kułak jest oczywiście śmiertelnym wrogiem spółdzielczości produkcyjnej, bo dalszy rozwój spółdzielczości produkcyjnej pozbawi w końcu kułaka wszelkich możliwości uprawiania wyzysku.

Zahamowanie rozwoju spółdzielczości produkcyjnej było z drugiej strony skutkiem naruszania zasady dobrowolności, na skutek czego powstały gdzieniegdzie spółdzielnie słabe, cherlawe, działające odstraszająco na okolicznych chłopów. Szczególnie jaskrawo słabości te występują na ziemiach starych.

Na 3362 spółdzielnie produkcyjne — większość, bo 57 procent znajduje się na Ziemiach Odzyskanych.

Toteż niewątpliwie dobrze się stało, że większość uczestników wycieczek do ZSRR, które stanowią dla naszych chłopów olbrzymią pomoc i szkołę i pozostawiają na całe życie wspaniałe niezatarte wrażenie, pochodzi z gromad na ziemiach starych.

Bardzo dobre rezultaty dają również masowe wycieczki naszych chłopów z województw centralnych i wschodnich w celu zapoznania się ze spółdzielczością produkcyjną w województwach zachodnich. W wycieczkach tych w tym miesiącu wzięło udział około 7 tysięcy chłopów i spółdzielnie nasze zrobiły na nich silne i dodatnie wrażenie. Okazało się przy tym, że w spółdzielniach naszych wyrósł nowy aktyw — kobiet i mężczyzn, starych i młodych — ludzi bez reszty oddanych sprawie spółdzielczości produkcyjnej, ludzi nie wyobrażających już sobie powrotu do gospodarki indywidualnej. Okazało się, że w spółdzielniach naszych zdążyły już wyrosnąć spośród samych chłopów setki i tysiące agitatorów spółdzielczości produkcyjnej i to agitatorów znakomitych, którzy potrafią znaleźć najbardziej zrozumiałe i przystępne dla chłopów argumenty za spółdzielczością produkcyjną.

To jest, towarzysze, wielkie nasze osiągnięcie, a przecież ta armia agitatorów spółdzielczości produkcyjnej spośród samych chłopów będzie niewątpliwie coraz bardziej rosnąć.

I wreszcie — istotnym źródłem niedostatecznego jeszcze rozwoju spółdzielczości produkcyjnej jest stosunkowo słaby rozwój niższych typów spółdzielni produkcyjnych.

Winę tu w dużej mierze ponosi aktyw terenowy, który nie zawsze dostatecznie liczy się z dojrzałością mas chłopskich, którym przecież łatwiej jest zdecydować się na niższe typy spółdzielczości produkcyjnej, niż na wyższe. Poza tym bywa przecież niekiedy, że w gromadzie, w której powstaje spółdzielnia produkcyjna, brak jest większych zabudowań gospodarczych, brak większej obory czy stajni. Oczywiście, że w takich warunkach bardziej celowe jest założenie spółdzielni produkcyjnej typu Rolniczego Zrzeszenia Spółdzielczego — RZS tzw. Ib, aby wspólnymi siłami budować oborę i stajnię i przechodzić potem na wyższy typ.

Szeroką bazę dla stworzenia spółdzielni produkcyjnych mogą też stworzyć umowy POM z gromadą na określone prace, np. orkę, sprzęt, co szczególnie podkreślił w swoim referacie na VII Plenum towarzysz Bierut. Takie umowy POM-u z grupami chłopów mało- i średniorolnych o orkę i inne roboty przy ewentualnej czasowej likwidacji miedz na okres robót, umowy przewidujące jednocześnie ustalenie przez chłopów zasiewu jednakowej kultury na wspólnym obszarze, mogą mieć doniosłe znaczenie dla przyśpieszenia tempa rozwoju spółdzielczości. *(Okrzyk: Niech żyje Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, która prowadzi masy pracujące do dobrobytu!).*

Takie umowy mają szczególne znaczenie dla biedoty, dla gospodarstw bezkonnych. Przecież POM za zaoranie 1 ha pobiera przy czasowym zaoraniu 72 zł, a kułak, jak już mówiłem, 200 zł.

Mówiłem, że gdzieniegdzie gospodarstwa małorolnych ulegają częściowemu zaniedbaniu, gdy gospodarze ich zatrudnieni są w przemyśle. Czy nie jest w związku z tym godny spopularyzowania przykład spółdzielni produkcyjnej, powstałej niedawno w pow. koneckim, składającej się z samych kobiet, których mężowie zatrudnieni są w przemyśle? I ludziom lżej i dochody większe.

Czyż nie jest jasne, że w przezwyciężeniu wszystkich słabości spółdzielczości produkcyjnej i w uruchomieniu wszystkich dźwigni jej rozwoju poważną rolę do spełnienia ma prasa wiejska i jej korespondenci.

TRZEBA, BY CHŁOP WIEDZIAŁ, ŻE TU IDZIE O SZCZĘŚLIWE JUTRO WSI, O SIŁĘ OJCZYZNY

I na zakończenie, towarzysze i obywatele, od Was, od korespondentów w duże mierze zależy, ażeby w tej walce o rozwój spójni chłop czuł, że tu idzie o jego przyszłość, jego naród, o siłę jego ojczyzny, o pokój dla jego dzieci. Trzeba na wsi wytworzyć gorącą, patriotyczną atmosferę walki o wzmożenie wkładu wsi polskiej do dzieła uprzemysłowienia kraju i wzrostu sił Polski Ludowej, a w związku z tym trzeba izolować kułaka od społeczności chłopskiej, trzeba rozwijać aktywność i inicjatywę biedoty chłopskiej, trzeba przezwyciężać wahania i wciągnąć do jedności z klasą robotniczą średniorolnych chłopów, trzeba, aby aktyw społeczny walczył o jak najściślejszą więź między chłopstwem pracującym a organami władzy ludowej przeciw wszelkim wypaczeniom biurokratycznym w stosunku władz do bolączek i potrzeb pracujących chłopów.

Nieście w masy i urzeczywistniajcie doniosłe wytyczne towarzysza Bieruta o umocnienie spójni między miastem i wsią i sojuszu klasy robotniczej z pracującym chłopstwem.

Pamiętajcie, że urzeczywistnienie tych wytycznych oznacza pełne zwycięstwo socjalizmu, siłę Polski, dobrobyt jej ludu pracującego. *(Oklaski, wszyscy wstają i skandują: Bierut).*

Roman Zambrowski

JÓZEF CYRANKIEWICZ

„CHŁOPI POTRZEBUJĄ WASZEJ POMOCY"

(Fragmenty z końcowego przemówienia)

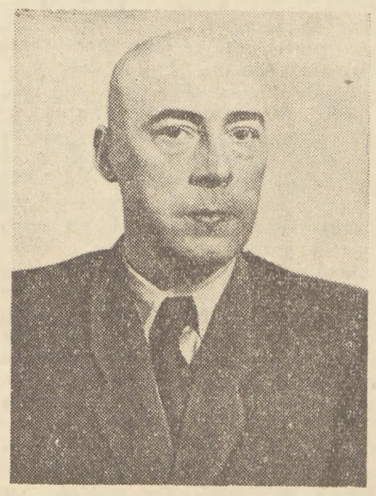

GŁÓWNE, wielkie zadanie na każdym posterunku, naczelny cel polityczny naszej walki należy widzieć w zacieśnieniu spójni między miastem i wsią, w jej centralnym ogniwie — na wsi indywidualnej, a więc nie należy spuszczać z oczu ani dostaw, ani kontraktacji, ani walki z opornymi kułakami, ani GS-ami, w których — jak widzieliśmy to z dyskusji — rośnie w walce z objawami kumoterstwa i spekulacji nowy aktyw GS-owców, naszych GS-owców. Tam jeszcze jest kumoterstwo i złodziejstwo, korespondenci muszą mocną nogą stanąć na wsi indywidualnej, tam chłopi potrzebują waszej pomocy i waszej ostrej broni. Broń Wasza służyć musi bez reszty umacnianiu spójni między miastem i wsią, umacnianiu sojuszu robotniczo-chłopskiego, którego treść tak bardzo serdecznie odczuliście wszyscy przy wystąpieniu górnika-korespondenta, ob. Ratajczyka.

✠

Większość wsi, to dziś jeszcze wieś indywidualna, o tym nie wolno zapominać. Tam toczy się i toczyć się będzie najbardziej zażarta walka klasowa zarówno z wyzyskiem kułackim skierowanym ku wsi, ku małorolnym, ku średniorolnym jak i z jego próbami podważania spójni między miastem i wsią, próbami wyzysku skierowanego ku miastu, tam rozgrywa się główna batalia na wsi indywidualnej ku zwiększeniu produkcji, tam rozgrywa się ta walka na gruncie doświadczeń dobrych spółdzielni produkcyjnych już istniejących, w wyniku doświadczeń chłopów, którzy wyjeżdżają do Związku Radzieckiego i do naszych spółdzielni produkcyjnych i w wyniku wzrostu ogólnej świadomości o niezaprzeczonej wyższości gospodarki zespołowej i odizolowaniu kułaka w rozwijającym się sojuszu małorolnego ze średniakiem, tam rozwijać się będzie i dojrzewać historyczny wzrost wsi ku wyższym, wydatniejszym, lepszym, zapewniającym trwały wzrost dobrobytu formom gospodarczym.

Kłaść fundament pod ten wzrost wsi, pod jej lepsze życie, przyczynić się do tego, aby szybciej dojrzewała świadomość wsi, demaskować wroga, który by chciał zatrzymać wieś w jej rozwoju ku lepszemu życiu, demaskować siewców plotek i niepokojów, wydobyć kułaka z ukrycia i ukazać całej wsi jego odrażające oblicze, pokazać, że jest on zaciętym wrogiem, pokazać wsi na przykładach, kto jest jej wrogiem i wskazać równocześnie drogę walki i wyzwolenia — czyż może być zaszczytniejsze zadanie dla korespondenta, bojownika o lepsze życie dla wsi polskiej, dla narodu polskiego?

A więc wszyscy obywatele korespondenci, gdziekolwiek pracujecie, ruszcie na front trudnej walki, która toczy się i toczyć się będzie na wsi indywidualnej o nowe życie, a w tej walce i agitacji nie rezygnujcie z różnych form gospodarki zespołowej, agitujcie za spółdzielniami niższego typu, licząc się zawsze z dojrzałością mas — a rozszerzycie wówczas front walki o nową spółdzielczość produkcyjną.

✠

Pięknie tu mówili niektórzy korespondenci o tym, jak i w jakich ciężkich warunkach pracowali, jakim szykanom byli poddani ze strony różnych kacyków i biurokratów, słyszeliśmy o roszarniach — a roszarnie mamy na oku — słyszeliśmy jak walczyliście, nie zważając na pogróżki złodziei, spekulantów, na anonimowe listy, na przeróżne machinacje kułaków.

Rzecz jasna, że korespondenci mają i będą mieli przeciw wszelkim szykanom, przeciw wszelkim kacykom i obrażonym biurokratom pełne poparcie władzy ludowej (oklask), ale równocześnie musicie Obywatele Korespondenci pamiętać, że trzeba tak pracować, aby Wasza walka nigdy nie była w żadnym środowisku samotna, ażebyście nie chodzili po wsi, czy po spółdzielni produkcyjnej, czy PGR-ze jak pojedynczy, błędni rycerze. Wiem, że czasem są takie sytuacje, są wsie o bardzo dużym wpływie kułaków, są PGR-y gdzie ton nadaje klika. Bywają trudne sytuacje również i w spółdzielniach, gdzie walkę trzeba zacząć nieraz wbrew początkowym nastrojom większości danego środowiska. Trzeba taką walkę czasem rozpocząć i chłopscy korespondenci taką walkę podejmowali, podejmują i nieraz przeprowadzają ją zwycięsko wbrew wszystkim i wszystkiemu na swoim terenie.

Ale, Obywatele, jeżeli znajdziecie się w toku takiej walki, starajcie się wtedy w nieufnym środowisku zrobić wyłom. Trzeba nie schodzić z głównych wyznaczonych linii, tylko starać się pokazać ludziom uczciwym sens swojej walki, pokazać jej cel, pokazać ludziom nieraz obałamuconym, że walczycie o ich sprawę, że to jest jedna sprawa. Trzeba zdobyć oparcie i poparcie w Waszej walce wszystkich uczciwych ludzi na waszym terenie. W ten sposób nie tylko notatki i artykuły, ale i praca uświadamiająca przyśpieszy izolację wroga, przyspieszy rozbicie kliki, poprzez napór od dołu zdobędziecie mocniejsze zaplecze Waszej pracy, przyspieszycie wzrost uświadomienia pracujących chłopów, będziecie silniejsi, będziecie mieć i Wy i Wasza praca jeszcze większy autorytet i zrozumienie w terenie.

Klucz do tego, aby wszędzie korespondent zdobył pełne poparcie w masach chłopskich leży w haśle: każdy korespondent agitatorem.

Tak więc następnym zadaniem szerokich rzesz korespondentów to stale, krok za krokiem, zdobywanie aktywu, zdobywanie poparcia tych, w których interesie leży Wasza walka. Szukajcie tego aktywu, szukajcie tego poparcia, bo minął czas, kiedy takie walki o lepsze życie ludzi i wyplenienie zła mogły być toczone samotnie. Dziś to jest walka wspólna, zwycięska walka toczona przez masy pracujące miast i wsi, a więc do tej walki i Wy musicie prowadzić za sobą to, co dobre, co uczciwe na Waszym terenie, a często to jest większością, choć zdarza się jeszcze nieraz, że jest przytłoczone przez to, co złe i wrogie.

Jeszcze o jednym trzeba pamiętać, Wy, Korespondenci, na Waszych posterunkach także musicie jak wszyscy działacze, dbać o jak najściślejszy kontakt z masami. Ta podstawowa zasada obowiązuje także korespondentów. Przecież sami dobrze wiecie, że oderwać się od mas można nawet mieszkając w gromadzie. To jest sprawa postawy, a nie miejsca zamieszkania. Przenieście więc w szeregi rzesz korespondentów poczucie, które tu w dyskusji wykazaliście, poczucie pełnego powiązania z masami.

Następnym krokiem, który niewątpliwie Waszym artykułom, Waszej pracy da większą siłę oddziaływania, który pomoże Wam w pracy, pozwoli ją podnieść na wyższy poziom, jest słusznie tu w dyskusji wysunięta sprawa klubów korespondentów.

Niewątpliwie, jedną ze zdobyczy tej narady powinno być przyśpieszenie tworzenia klubów korespondentów pod hasłem: w każdej gminie, w każdym powiecie — klub korespondentów. Rośnie autorytet korespondentów, rośnie też ich rola polityczna.

W parze z tym musi iść coraz większa dbałość korespondentów o ścisłość wszystkich notatek i artykułów, coraz większe poczucie odpowiedzialności za słowa, które piszecie. Tutaj w dyskusji widzieliśmy pełne zrozumienie tej sprawy. Trzeba żebyście i Wy poprzez kluby, poprzez oddziaływanie na szerokie rzesze korespondentów wpajali im przekonanie, że korespondent musi być ścisły, dokładny i prawdomówny, aby wysoko nieść sztandar walki o lepsze życie i o lepszych ludzi. (Oklaski).

Niewątpliwie, zjazd sprawi, że zwiększą się szeregi korespondentów, że ubojowią się korespondenci, że znajdą oni i rozszerzą nowe formy organizacyjne, które ułatwią im pracę; że wyjdziecie z tego zjazdu uzbrojeni w pełne zrozumienie spraw, o które dziś w Polsce Ludowej toczy się walka i że to uzbrojenie pomoże wam w dalszej waszej zaszczytnej pracy.

Toczymy ciężką, trudną walkę o umocnienie naszego państwa, o dalsze przyśpieszenie budownictwa socjalistycznego, o wzmocnienie narodowego frontu walki o pokój i Plan 6-letni, o to, aby nasza ojczyzna rosła, kwitła i żeby była tak silna wraz z całym obozem pokoju, aby nikt nie podniósł na nią bandyckiej, hitlerowsko-amerykańskiej ręki.

W tym budownictwie siły naszej ojczyzny ogromny ciężar walki niesie na sobie korespondent. Zwycięstwo będzie szybsze i bliższe, gdy poczucie odpowiedzialności za własną ojczyznę, które istnieje w masach pracujących chłopów, sprawi, że wieś polska zacieśni w tej wspólnej walce **spójnię między miastem a wsią**, o której tak obszernie mówił tow. Zambrowski i część dyskutantów, że wieś zwiększa produkcję rolną zarówno w spółdzielniach jak i gospodarstwach indywidualnych, gdyż pracujący chłop zacieśnia sojusz robotniczy — tę niewzruszoną podstawę naszego ludowego państwa.

Obywatele, życzę Wam w imieniu Rządu Ludowego, życzę wielotysięcznej rzeszy korespondentów wiejskich poza tą salą, abyście w tej wielkiej walce narodu polskiego, od której zależy siła Polski, dobrobyt jej ludu pracującego, stanowili na wsi rosnącą, budującą, zwycięską siłę, burzącą tam wszystko, co wrogie i złe, budzącą ludzi do pracy i walki, związując szerokie rzesze pracujących chłopów z Polską Ludową i jej pierwszym bojownikiem o dobro ludu pracującego miast i wsi, Prezydentem Bierutem.

Józef Cyrankiewicz

JAN ALEKSANDER KRÓL

WŚRÓD KORESPONDENTÓW

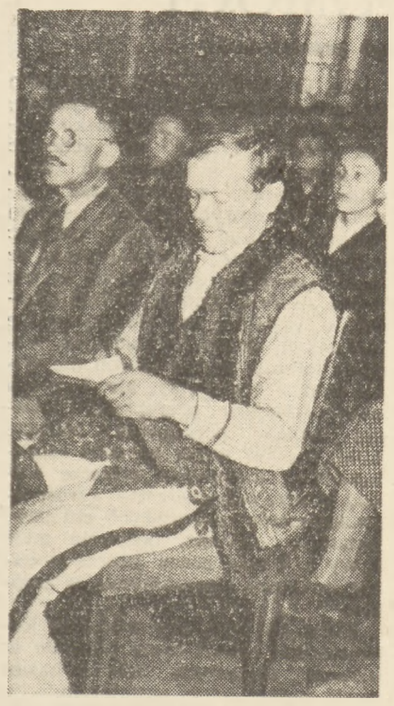

Foto CAF

PRZYJECHALI z całego kraju na swoje plenum.

Przyjechali w roku przełomu, w trzecim roku Planu 6-letniego, tuż po VII Plenum Partii. Z teczek i tłomoczków wyciągali wieczorem, w wigilię zjazdu, gazety z referatem Prezydenta Bieruta. Byli tacy, co już na dworcach zdobyli „Nowe Drogi" i dyskusję na plenum doczytywali jeszcze w pociągu albo w hotelu przed snem, jaki dzielił ich od zjazdu.

VII Plenum z centralnym akcentem: umocnienia spójni między miastem a wsią... Wiedzieli, rozumieli a co najmniej przeczuwali, że na wielkiej sali z gąszczu 400 korespondentów wylatywać będą jak pociski odpowiedzi, co znaczy w praktyce terenowej umacniać spójnię. Rozumieli, że na każdym ciąży obowiązek dać tę odpowiedź tak, aby uwzględniała specyficzne warunki terenu i była konkretna, jakbyś ręką dotykał faktów.

„Rozwijająca się szybko nasza gospodarka narodowa, nowe i potężne zakłady pracy, nowoczesna technika, wymaga od swych kierowników i przywódców..." Oni przybyli z rozwijającej się coraz szybciej gospodarki na wsi. Przybyli jak żeglarze na wzniesionej fali ostatnich wielkich akcji: skupu jesiennego i wiosennego siewu, kiedy chłop poczuł „że tu idzie o jego przyszłość, jego naród, o siłę jego ojczyzny, o pokój dla jego dzieci".

Przybyli czując się tego prądu, tam u siebie poniżej powiatu, kierownikami i przywódcami. A najlepiej, kiedy powiemy: BOJOWNIKAMI! „Chciałem być bojownikiem — wyjaśniał stary Józef Szczypek — a był to najgorszy, najtrudniejszy okres w naszej spółdzielni, zapomnianej i opuszczonej przez powiat i wtedy to zostałem.. korespondentem!"

Czytali referat Prezydenta Bieruta, wysłuchali referatu marszałka Zambrowskiego — i co tu — zdawałoby się — dodawać, co tu powtarzać — a rzuciło się do głosu DWUSTU! Dlaczego? Dlatego, że są to bojownicy, którzy w świetle VII Plenum, rozjaśniającym im perspektywę, mogli i czuli się w obowiązku odpowiedzieć z jakich wychodzą walk i zwycięstw i do jakich teraz konkretnie poprowadzą gromadę, spółdzielnię, PGR, GS, POM, gminę, okolicę, aby umocnić spójnię.

*

„Nie mieliśmy w ubiegłym roku żyta — mówił Józef Szczypek — członek spółdzielni produkcyjnej — a w tym roku mamy 80 ha żyta i pszenicy, 27 ha buraków cukrowych, 30 ha jęczmienia, 80 ha owsa a mieszanki bez liku. Nie mieliśmy bydła a teraz mamy bydło. W ubiegłym roku dwie były maciory a dzisiaj 120 świń spasionych. Mamy 120 świń, a możemy mieć tysiąc, bo duży z tego dochód, a mało wymaga czasu obrządzanie. W tamtym roku mało mieliśmy siana. Musiało przy tym pracować 10 ludzi. A dzisiaj jest u nas dmuchawka, która za 10 ludzi robi sterty i rzuca snopy. Robota lekka, nie ma rozsypu. Jest taki tryjer bardzo potrzebny a niewiele kosztuje, niecałe 5000 zł".

Oto meldunek osiągnięć. Oto dynamika rozwoju spółdzielni, jaką wniósł na zjazd korespondent. Ta dynamika omal go nie zatrzymała w spółdzielni. Odradzano mu wyjazd: robota się pali, będziesz potrzebny. Ale Szczypek wyruszył do Warszawy w imię tego, czego od niego żądano. Wyruszył aby okazać się potrzebnym spółdzielni. Patrzył bowiem, jak bojownik, jak korespondent w przyszłość, w perspektywę ,która wymaga umocnienia spójni a „nie różami oczywiście usłane jest nasze życie... nie szczędzi nam jeszcze wielu trosk".

„W tym roku wciąż do nas przyjeżdżają z powiatu chłopskie wycieczki — ciągnął do wniosku rzecz swoją, Szczypek — oglądają i widzą, że nasze bydło rasowe, krowy tłuste i mleczne, cielaki dobrze hodowane, w polu nie dojrzysz krańca łanów, więc nam zazdroszczą i wracają z głowami nabitymi obrazem naszej urody i dostatku".

Miał Szczypek zostać w spółdzielni, gdzie robota paliła się w najbliższych dniach? Miał wspomóc tę doraźną krzątaninę — kiedy przeczytał referat Prezydenta Bieruta? Nie, bo referat uprzytomnił mu doniosłość spójni jaką oni zaczęli już rozwijać, oddziaływając na cały powiat, a tu, jak grom z jasnego nieba PGR wszczął roszczenia do zabudowań, które spółdzielnia własnym kosztem i własną pracą odremontowała i na nich oparła gospodarkę polową i hodowlaną. Szczypek przyjechał, aby powiedzieć, że będzie się bił o te zabudowania. Nie dopuści, aby członkowie upadli na duchu. Nie dopuści, aby zniszczała gospodarka choćby tylko trochę, bo ona promieniuje na powiat, ona pogłębia spójnię. Ona już wzbudziła w wielu gromadach wiarę w nową gospodarkę, już zacieśniła sojusz robotniczo-chłopski, umacniając w świadomości chłopów kierowniczą rolę klasy robotniczej.

— „Jeśli spółdzielnia tak dobrze gospodaruje, a jak podają sprawozdania nasza spółdzielnia dorównuje majątkom państwowym to sądzę — wywodził Szczypek — że spółdzielnia mogłaby objąć gorzelnię, jaką mamy na naszej ziemi".

Oto konkretny projekt, jak u nich można by umocnić spójnię. Niech chłopi z powiatu widzą, co potrafi spółdzielnia produkcyjna, jakie może mieć perspektywy: gospodarować i uprzemysławiać się!

Nie przeczuwał Szczypek, że kiedy będzie troski te i plany rozwijał przed zjazdem aby upewnić się o słuszności wytkniętego celu i dać przykład, jak można i trzeba iść naprzód — nie przeczuwał, że już w pół zdania odkrzyknie mu marszałek Zambrowski: „skoro spółdzielnia zbudowała, to nikt spółdzielni tego nie zabierze!" Nie przeczuwał, że w podsumowaniu dyskusji premier Cyrankiewicz i o gorzelni wspomni: „ponieważ jest mała, będzie przyznana spółdzielni".

Był to na zjeździe wielki przykład, ukazujący jak z jednej strony bojownik - korespondent konkretyzuje sprawę umocnienia spójni i jak z drugiej strony winny działać organa ludowej władzy w terenie, aby rozwijała się szybko nasza gospodarka, umacniając spójnię między miastem i wsią.

*

Kiedy Karol Drążek, chłop po czterdziestce, organizował spółdzielnię produkcyjną, opisał szeroko, z jakich to powodów i dla jakich korzyści gromada rozpoczęła nowe życie. Drukowały jego wywody „Gromada" i „Trybuna Robotnicza". Posypały się wówczas anonimy. Otrzymał ich Drążek 24, jeden z wyrokiem śmierci. — „A mnie śmiech pusty ogarnął. Jak można w roku 1950, kiedy władza ludowa tak ugruntowana — pisać podobne bzdury. Były to listy zbankrutowanych durniów".

Do czego zmierza anonim i plotka? Do zatrwożenia, które osłabia w pracy i hamuje jej rozmach.

A mnie śmiech pusty ogarnął... i podam wam krótki fakt. Zwiedzili naszą spółdzielnię chłopi z województwa warszawskiego. Byli zachwyceni naszymi plonami. Bo u nas, jak i prawie w całej Opolszczyźnie spółdzielnie produkcyjne przekroczyły w tym roku państwowy plan w zakresie produkcji zwierzęcej. A po czym mam prawo sądzić, że byli zachwyceni? Nie było jednego, któryby nie zerwał sobie kilka kłosów żyta, jęczmienia, rzepaku. Nie na walizkach nas zastali, ale wśród tak dorodnych plonów, że natchnęły one mazowieckiego i podlaskiego chłopa pragnieniem agitacji. Brał nasze kłosy jako dokument i jak talizman aby za powrotem w warszawskim województwie uzbrajać ludzi przeciw plotce w śmiech, który zmiażdży wroga.

Drążek, wolny od trwogi, zaszczepia innym odwagę. A jest ona siłą największą z istniejących. Całą energię człowieka przelewa w zaplanowane dzieło. Nie pozwoli z niej nic rozproszyć, nie pozwoli zmącić umysłu, osłabić jego skupienia. Rodzi zawsze jasność celu i środków, przeobraża pracę w twórczość.

O jeszcze jednym a znamiennym fakcie opowiedział Drążek.

W lipcu mają odwiedzić spółdzielnię chłopi z województwa lubelskiego, skąd rodem sam Drążek. Będzie to akurat pora szczepienia buraków. Szczepienie to nowość! Dopiero w tym roku pojawiły się w gazetach pierwsze sygnały. A rzecz niesłychanej wagi. O ile bowiem doświadczenia dadzą dobre wyniki, można będzie zebrać z pola PODWÓJNY ZBIÓR.

W spółdzielni Drążka postanowiono dokonać próby na 1 ha buraków cukrowych. Jest to próba poważna, dlatego potrzebny do niej dokładny opis. A tymczasem w „Chłopskiej Drodze", gdzie ten wspaniały skok plonów buraka anonsowano, nie doczytał się Drążek szczegółowych, z sensem podanych objaśnień.

— Szczepi się buraki nasieniem. Robi się 3 razy patyczkiem dziurkę w odstępach 10-dniowych, ale czy w tym samym miejscu, czy za każdym razem gdzie indziej? Są to rzeczy nowe, a dla produkcji cukru rewelacyjne! Czyż zatem można tak bałamutnie pisać, z takim niedbalstwem?

Z wielu spółdzielniami współdziałają już pracownie naukowe. Ale i tam, gdzie nie ma bezpośredniego kontaktu, jak np. w spółdzielni Drążka, związek ten zadzierzga się od dołu, od samego zespołu wychodzi inicjatywa. Bo spółdzielnia, to socjalizm, a socjalizm to naukowa organizacja pracy.

Trzeba zrozumieć, że ci najdzielniejsi, których w obliczu anonimu, grożącego śmiercią, ogarnia śmiech pusty, ci idą naprzód siedmiomilowymi krokami. Oni na serio i z całą powagą sięgają po wynalazcze wskazanie zwiększenia produkcji. Oni następują na pięty nauce i wdzierają się na pola najnowszych doświadczeń aby nie czekając, razem z nią próbować skoku w przód.

Szczegół, o którym opowiadał Drążek, odsłania wielką perspektywę! Ci, co przyjadą z Lubelszczyzny, powinni zobaczyć próbę, powinni ujrzeć naukę w twórczych rękach chłopów-spółdzielców.

Powinni otrzymać jedną z odpowiedzi na tak ważny artykuł, jak cukier. Odpowiedź oszałamiającą. Odpowiedź, jaka swoim własnym snopem światła zdolna jest już ukazać gigantyczną treść naszego budownictwa socjalistycznego.

I jeszcze jedno trzeba nam zrozumieć. Oburzenie Drążka na mętne objaśnienia gazety, kiedy ich spółdzielnia czujnie śledzi ostatnie zdobycze nauki i pragnie je stosować w praktyce.

„Gdybym był Miczurinem to bym się nie pytał redakcji".

*

Z JÓZEFEM Rogowskim rozmawialiśmy wieczorem w przeddzień Zjazdu. Stary siedział sztywno w kole spółdzielców, wypinając pierś, na której błyszczał Krzyż Zasługi. Tym Krzyżem starał się wykupić od pytań i zaczepek. Bo cóż mógł powiedzieć rozgadanym spółdzielcom, on, indywidualny, średniak? Ma tu w Warszawie córkę - lekarza i zięcia - inżyniera, nie wyskoczył jednak do rodziny. Ugrzązł w kręgu spółdzielców i słuchał Kołodziejczykowej i Jaroszowej.

Przyszła jednak i na niego kreska.

— Kiedy u was, Rogowski, powstanie spółdzielnia?

Stary rozłożył ręce. W całym powiecie brzezińskiem nie ma jeszcze spółdzielni. A w jego gminie? Zacofani rolnicy trzymają się kurczowo Łodzi, jak kot myszy i wynoszą tam, bo blisko, nadwyżki na czarny rynek. W jego gminie nie mają chłopi większych maszyn rolniczych, a daleko do SOM-u, jeszcze dalej do POM-u.

— A jaki Wasz pogląd?

— Myślę, że jeśli by to było możliwe, należało by zlikwidować czarny rynek, aby był jednolity. A zwołując zebrania, trzeba domagać się, aby skolektywizowano chociaż jedną gromadę w naszej gminie. Bez czarnego rynku i z taką pokazową spółdzielnią z maszynami, to by u nas powstał ruch do spółdzielni.

— Aleście sztywni, ino przez dekrety chcecie iść naprzód, a do spółdzielni droga przez dobrowolność i agitację.

— A Krzyż za co macie?

Stary omal się nie obraził. Bo przecież, kiedy mówił o zacofanych rolnikach a chytrych na zbyt, kiedy mówił o braku maszyn w okolicy i o całym powiecie, w którym nie ma jeszcze spółdzielni, chciał przez to podkreślić, jak dalece znajduje się w tyle, on, reprezentant swojego terenu, za tymi przodującymi chłopami, członkami spółdzielni.

Ale spółdzielcy nie kpili. O Krzyż pytali poważnie. I tym pytaniem trafnie oddzielili „sztywne poglądy" Rogowskiego od jego pracy. Udobruchany stary miał teraz o czym mówić.

Jego rodzinna wieś, Dąbrówka, za wzorowe wykonywanie planu i obowiązków wobec państwa, już trzeci rok z kolei otrzymuje premie; odznaczenia otrzymał nie tylko Rogowski — dziesięciu chłopów.

A co się tyczy tegorocznych żniw, rzuciła gromada wezwanie innym wsiom do współzawodnictwa. Żniwa zobowiązali się rozpocząć 14 lipca, na areale 70 ha skosić zboże w 4-ch dniach, w następnych 4-ch podorywanie i poplony na 40 ha, omłoty zaś i zsyp z nadwyżką 50% do 15 sierpnia. Dla wykonania tak napiętego planu otrzymali przyrzeczenie z POM-u, że dostaną cztery żniwiarki i trzy młocarnie Po raz pierwszy pojawią się we wsi ciężkie maszyny.

Niełatwo pojąć Rogowskiego. Kiedy mówi o jednym rynku i zarządzeniu dla powołania pokazowej spółdzielni produkcyjnej w powiecie — chciałoby się rzec — lewak. Ale Rogowski nie jest przecież „władzą", nie jest partyjnym. W swoim przegięciu przynosi jakieś ziarno poglądów chłopów bezpartyjnych, średniaków w większości. Nim się przegięcie skrytykuje trzeba wyłuskać ziarno z kąkolu. Trzy razy gromada wypełniła w terminie i ponad plan swoje zobowiązania. W czwartym roku przyjęła jeszcze wyższe zobowiązania. Co to znaczy? I skąd się to wzięło? Rogowski powiada — honor obywatelski. Jak on go rozumie, jak go doświadczył? Tu się odsłania tajemnica. Plany i zobowiązania, jakie stawia państwo przed wsią, oto teren doświadczeń Rogowskiego - działacza.

Na dekretach i zarządzeniach rządu rósł honor obywatelski chłopów w Dąbrówce Małej i gminie Niesiołków, wypełnić je z honorem — tak się miały sprawy. Była to więc droga, świadcząca o pogłębianiu się zaufania i wiary w ludową władzę. Na tej drodze w świadomości chłopów coraz bardziej stapiało się społeczne z państwowym. I coraz bardziej społeczne przesuwało się w państwowe Nie trzeba zapominać, że dekrety o obowiązkowej dostawie mięsa i mleka poprzedziły listy korespondentów, w których chłopi domagali się takich zarządzeń. Państwowe dekrety ukazały się jako wyraz woli mas chłopskich. Kiedy więc Rogowski marzy o dekrecie na jeden rynek i zarządzeniu na skolektywizowanie pokazowej wsi w brzezińskim powiecie — błądzi. Ale zrozumcie źródło tej „filozofii". On jest pewien swojej gromady i gminy jak żołnierz, który poznał w bojach macierzysty pułk Jeśli dowództwo każe iść na czołgi, pójdą na czołgi. Niechby był jeden rynek—a honor obywatelski weźmie górę, niechby jedną tylko spółdzielnię „nasadzili" — a współzawodnictwo weźmie górę. W tym jest oczywiście przesada i naiwność średniaka, który radby przeskoczyć walkę klasową dekretem, który nie docenia wroga klasowego i zmagań wewnętrznych w swojej warstwie i u małorolnych, który przełomu nie widzi w perspektywie. jako własnego dorobku pracujących chłopów Ale czego tu nie wolno przegapić? Gotowości na wszelkie zarządzenia władzy ludowej i patriotyzmu socjalistycznego, który w dekretach widzi obowiązki i prawa, obejmujące wszystkich i stąd czerpie świadomość narodu, jego wzrostu i przemian.

A Rogowski - działacz? Tu druga zagadka. Stary w swej pracy społecznej ma wyczucie i smykałkę. Wyprowadził trzy razy wieś na wysokość premii i odznaczeń. Czy możliwe, aby za czwartym razem gromada nie posunęła się jeszcze dalej?

Posunęła. Podjęła zobowiązania które przynoszą jej chlubę w skali krajowej. Rogowski drży, czy aby POM nie zawiedzie? Czy będą dostarczone 4 żniwiarki i 3 młocarnie, czy w akuratnych terminach? Bo w tym najtrudniejszym zobowiązaniu reputację Dąbrówki psi mogą zjeść. Czy Rogowski nie wie jak doszło do tego ambitnego planu żniwnego? Wie! Sam jest kierownikiem SOM-u. Sam gromadził i reperował szczupły park maszynowy i z bólem serca przekazywał go innym wsiom, bo do Dąbrówki 8 kilometrów.

Kiedy więc teraz gromada przyjęła plan wspólnych żniw, jakby to była spółdzielnia, kiedy ułożono rekordowe terminy i całej akcji nadano rozmach imponujący, bo tu i kośba i podorywki i poplony i omłot i zsyp o 50 proc. ponad plan, a wszystko razem w miesiąc czasu — cóż dało początek temu wielkiemu eksperymentowi? Honor? Tak, ale honor w rozumieniu Rogowskiego. to wypełnienie z nadmiarem obowiązków. A tu doszło coś nowego, coś własnego. Tęsknota do maszyn. Lata całe torowała sobie drogę do ryzyka, do decyzji. I w tym roku wybuchła czynem Tak wielkim planem żniw Dąbrowianie zdobyli sobie prawo do maszyn. Przyciągnęli je z wielkiej odległości. Eksperyment nie kończy się na samych żniwach. Gromada zasłużona, ma dziesięciu wyróżnionych, chwyta teraz za maszyny. A Rogowski od roku wyliczył, że w ich włoście małej na miedzach zmarnowanej ziemi 14 ha. Wszyscy brali udział w tych obliczeniach i zgodzono się... 14 jak obszył.

Czy Dąbrówka skończy na żniwach, czy też jesienią pójdzie na obsiew wspólny, czasowo usuwając miedze, a może jeszcze dalej pójdzie?

Rogowski na pewno nie przegapi momentu. Energię wezbraną podczas żniw pchnie w jesienne siewy. Ale teraz jeszcze tego nie widzi. Jeszcze wciąż wypełnia — jako działacz — obowiązki państwowe z honorem i nie odczuwa, że krok za krokiem prowadzi gromadę naprzód, że ona dobrowolnie, choć w walce, wśród plotek i szyderstw wrogów i ich zauszników — dojrzewa właśnie do roli wzorowej spółdzielni, jaka rozpali ruch w powiecie.

Jan Aleksander Król

ANDRZEJ LAM

PO IV PLENUM ZWIĄZKU LITERATÓW

JEDEN z ostatnich dyskutantów, Adam Polewka, zwracał na to uwagę, że ostatnie Plenum Związku Literatów Polskich, poświęcone zagadnieniom tematyki współczesnej w naszej literaturze lat 1950 — 1952, nie przyniosło żadnych nowych wniosków i dlatego trudno uważać je za sygnał przełomu. Czy głosy te są słuszne? Uzasadnienie brzmiałoby tak: na Plenum nie powiedziano nic nowego, skodyfikowano jedynie — i to dość chaotycznie — dotychczasowe sądy. Ale słuszności przyznać tym głosom nie można, bo właśnie owa kodyfikacja stanowi bezsporną wartość.

Za sukces Plenum uważać bowiem należy postawienie na właściwej ideologicznej płaszczyźnie walki o jakość utworu literackiego. Referat Jerzego Putramenta zawiera nie tylko rejestrację zasadniczych objawów schematyzmu, słabości niektórych naszych utworów literackich, ale również analizę przyczyn tej słabości, sprowadzoną do źródeł ideologicznych. W ten sposób oficjalnie został obalony niesłuszny pogląd, jakoby pisarze polscy osiągnęli już doskonałość światopoglądową, jakoby wyciągnęli bezkompromisowo i konsekwentnie wszystkie wnioski, wynikające z marksizmu-leninizmu i jakoby walka toczyła się obecnie jedynie na terenie spraw t.zw. warsztatu, t.zw. doskonałości artystycznej. W istocie: jeśli schematyzm sprowadza się bądź do nieznajomości życia bądź do zwykłego nielbalstwa i beztroski o czytelnika (Adam Ważyk słusznie stwierdził, że trzeba tu oczywiście założyć, iż pisarz ma talent), to jakie mogą być w jednym i drugim wypadku ostateczne korzenie obu tych zjawisk? Czy pisarz o pełnej dojrzałości ideologicznej napisze powieść nie poznawszy wprzód gruntownie życia? Czy wybaczy sobie opieszałość i lenistwo? Czy rozgrzeszy się ze strusiego chowania głowy w piasek? Czy ulegnie bez przekonania redaktorowi wydawnictwa? Twierdząca odpowiedź musiałaby w każdym wypadku zaprzeczyć kwalifikacjom partyjnego pisarza. Potrafimy przecież wskazać utwór napisany przez człowieka nie zajmującego się literaturą zawodowo, a pełen pasji i prawdy życia: „Matkę i syna" Bobruka.

W dyskusji słusznie zwrócono uwagę, że odpowiedzialność za błędy spada przede wszystkim na pisarzy, a nie na okoliczności zewnętrzne, jak redakcje, krytyka itd. Krytyka rzeczywiście wykazywała niekiedy swoją niedojrzałość i tendencje do wulgaryzacji, ale nie po jej stronie leży podstawowa przyczyna błędów literatury. Pisał na ten temat Lukacs: „Przy nowym problemie istnieje zawsze to niebezpieczeństwo, że ludzie — pisarze są również ludźmi — szukają błędów u innych a nie u siebie. Sądzą, że gdy zajdzie jakieś zło, to nie oni sami są winni, lecz X czy Y. (...) Śmiem powiedzieć, że gdy pisarz czuje swą rację ideologiczną i artystyczną, nie potrafi przeczekać kilku miesięcy, a nawet ewentualnie lat, zanim wyjaśni się, że on ma rację a nie krytyka, to proszę mi wybaczyć — nie jest on literatem i nie może się za niego uważać. Jeśli pisarz nie może czekać trzech miesięcy czy roku, dopóki nie oceni się jego wewnętrznej siły, to błąd znajdował się w dziele bez względu na to, co pisała krytyka".

Radziecka dyskusja o dramaturgii nauczyła nas śmiałości w stawianiu i rozwiązywaniu problemów oraz pomogła nam właściwie spojrzeć na zagadnienie typowości. Jerzy Putrament mówił: „Typowe to jest to, co ważne. To jest to, co w danej sytuacji społecznej decyduje o powodzeniu, czy niepowodzeniu danej sprawy.. To, co pomaga, to, co przeszkadza". Stwierdzenie to powinno naszym pisarzom ułatwić zrozumienie ich społecznego zadania. Literatura nie jest ilustracją znanych powszechnie tez politycznych; jest ona narzędziem walki. Jako narzędzie walki winna być śmiała, winna trafiać w system nerwowy naszej rzeczywistości, zwiększać doświadczenie życiowe czytelnika, uczyć go, jak osiągnąć świadomość socjalistyczną. Winna być ciekawa, atrakcyjna. Pisarz partyjny stoi w pierwszym szeregu walczących; jeśli wlecze się w ogonie — przestaje być pisarzem. Który z naszych pisarzy dojrzał np. choć część problematyki, zawartej referacie Bolesława Bieruta, wygłoszonym na ostatnim plenarnym posiedzeniu KC PZPR? Linia polityczna partii jest dla każdego pisarza nieodzowną i nieocenioną wskazówką i pomocą, ale nie zwalnia go bynajmniej od samodzielnego myślenia.

Rozprawiono się również na Plenum z powierzchownym stosunkiem do t.zw. terenu; powiedzmy szerzej, znajomości naszego życia. Mechanistyczne wyjazdy do spółdzielń produkcyjnych czy zakładów przemysłowych nie mogą kwitować tego podstawowego warunku dobrej pracy literackiej — konieczna jest tu świadomość czynnego uczestniczenia w tym, co dzieje się na ogromnych połaciach naszego kraju. Nie przypadkowo pisarz o tym właśnie stosunku do opisywanych spraw — Witold Zalewski — stał się autorem doskonałych reportaży „Traktory zdobędą wiosnę". Nie przypadkowo Bohdan Czeszko napisał „Pokolenie", a Igor Newerly „Pamiętnik z Celulozy". Cechuje tych pisarzy pasja samodzielnego „wgryzania się" w życie, w ludzkie losy, ludzkie charaktery, ludzkie przemiany. Załatwienie się z człowiekiem za pośrednictwem ankiety personalnej czy bezbarwnej relacji oznaczałoby dla nich rezygnację z własnej sztuki i pisarskiego powołania. Upomnienie się Kazimierza Wyki o oczy szerzej otwarte na nurtujące dziś ludzi problemy, wołanie Seweryny Szmaglewskiej o dostrzeżenie ważnych społecznie spraw i odrzucenie różowych okularów filistra, miało wyraźny sens: bliżej życia! więcej odwagi!

Dyskusja na Plenum nie doprowadziła sprawy tematyki współczesnej w naszej literaturze do końca, bo większości pisarzy zabrakło po prostu dostatecznie bogatych, własnych obserwacji i przemyśleń. Zjawisko to potwierdziło tezy referatów Jerzego Putramenta, Włodzimierza Sokorskiego („Osiągnięcia i trudności współczesnej dramaturgii") i Adama Ważyka „O aktualnych zagadnieniach naszej poezji". Za słabą stronę Plenum można bezsprzecznie uznać wiele wypowiedzi dyskusyjnych, przypominających pogoń kota za własnym ogonem, t.zn. nie wychodzących poza to, co wiemy już od bardzo dawna. Oddechu naszego życia było w dyskusjach stanowczo za mało. Nie chodzi tu oczywiście o łabelkę aktualnych „problemów do rozpracowania", ale o spotęgowanie analitycznego zmysłu pisarzy, właśnie o szerzej otwarte oczy, o pełniejszą wiedzę, o głębszą mądrość.

Z tych względów słusznie zaniepokoiło niektórych dyskutantów dokonane przez Putramenta statystyczne zestawienie, z którego wynikało, że wskaźnik tematyki współczesnej w naszej literaturze stale wzrasta. Miary pudów i procentów mogą się tu okazać zawodne. Po pierwsze dlatego, że sam temat nie świadczy bynajmniej o dostrzeżeniu typowego konfliktu współczesnego, po drugie dlatego, że rzadko możemy dostrzec u jednego pisarza coraz pełniejsze angażowanie się we współczesność, że nowe pozycje o tematyce współczesnej — to przede wszystkim debiuty. Faktem zaś jest, że wielu pisarzy zniechęciły trudności, związane z podjęciem współczesnego tematu, że zniechęciła ich krytyka, z jaką się spotkali. Pisał o tym przekonująco Edward Csató w „Rozmowie schematycznej" („Teatr", nr 9). Rzecz jasna, nie zaznaczył się u nas żaden generalny odpływ od współczesności. Ale nawet jeśli Plenum profilaktycznie zapobiegło pewnym ujawniającym się często skrycie tendencjom ucieczki w historię czy za granicę, jeśli ośmieliło pisarzy starszej i średniej generacji, jeśli zachęciło do czerpania soków żywotnych z tego, co nas otacza — należy to uznać za ważne osiągnięcie.

Jak wiadomo, wszystkie postulaty można, posługując się złą wolą, realizować niewłaściwie. Dlatego Jerzy Putrament słusznie zaznaczył, że nie sformułował żadnych recept i że to, co powiedział, nikogo z niesamodzielnego myślenia nie rozgrzeszy. Wydaje się więc właściwe zwrócić uwagę na możliwe nieporozumienia:

1) Analiza rzeczywistości, zgodna z materializmem historycznym, nie ma nic wspólnego z t.zw. schematyzmem Porzucenie reprezentatywności losów ludzkich (czy problemów dźwiganych przez te losy) w imię walki ze schematyzmem oznaczałoby antyrewolucyjną i awanturniczą recydywę naturalizmu. Mówiła o tym Melania Kierczyńska.

2) Wołanie o większą odwagę pisarza nie może przerodzić się w tendencję szkalowania czy wypaczania naszej rzeczywistości w imię rzekomej prawdy. Obnażanie ciemnych stron naszego życia jedynie wtedy jest uzasadnione, kiedy toruje drogę marszowi do socjalizmu; natomiast gdy wynika z maruderstwa i służy bezpłodnemu biadoleniu — jest szkodnictwem politycznym.

3) Uznanie naszej cenzury czy placówek wydawniczych za instytucje antagonistyczne w stosunku do pisarza jest objawem zadufania w sobie, a nie poczuciem rzeczywistej własnej wartości i mądrości.

4) Hasło, rzucone przez Putramenta: „publikować i krytykować!" nie oznacza pobłażania dla grafomanii i zwykłego niedbalstwa i dlatego autorzy, broniący się przed krytyką wydawnictwa argumentem „najpierw wydrukujcie, potem będzie czas na krytykę", dają dowód oportunizmu i groszoróbstwa.

5) Obejmowanie terminem „schematyzm" wszystkich możliwych braków literatury jest niepotrzebnym i niepożytecznym wyolbrzymieniem zagadnienia. Ktoś, kto zamiast precyzyjnie wykazać rzeczywiste usterki np. stylu, mówi „styl jest dotknięty schematyzmem", objawia swą powierzchowność i niechęć do myślenia, a nie odkrywczość.

IV Plenum Związku Literatów Polskich uporządkowało więc wiele spraw, dotychczas niewyjaśnionych do końca, dało niejako oficjalny asumpt do zerwania z dotychczasowymi błędami Nasze wymagania w stosunku do literatury znów się zwiększyły. Znaczy to, że literatura zbliżyła się do tego, co stanowi największą naszą dumę i troskę — do budownictwa socjalistycznego.

Andrzej Lam

PRZED ZLOTEM MŁODYCH PRZODOWNIKÓW V*)

JAN BOLESŁAW OŻÓG

POŻEGNANIE

OTO już czekają przed spółdzielnią: Mietek Piter, Wojtek Selwa, Franek Cutyt, Józek Winiarski i Krzyś Palęga. Krzyk omal nie wyłupie okien w sklepie:

— Maniek! Maniek!

Odpowiada nareszcie brzęk dzwonka znad drzwi i Maniek wybiega w białym kitlu sklepikarskim. Wykopuje piłkę na pastwisko. Rzucają się hurmą i kopią ją między konie, które kwicząc, przesadzają płoty i robią chłopakom wolne miejsce.

— Stój! Wybierać się! Dawać piłkę — nawołuje kapitan drużyny, Maniek. Rzuca pięciogroszówkę na ziemię:

— Jak spadnie na orzełka, to wybiera Krzys, jak na reszkę — Mietek.

Pieniążek upadł. Wybiera Mietek. Grać się będzie we dwie bramki. Trening juniorów. Bramki oznaczone czapkami. Stają na środku. Po stronie Krzysia jest Maniek i Wojtek.

— Uwaga!

Dobrze, że wszyscy są przynajmniej boso, bo każdy kopie na oślep: po piłce, po nogach, po kościach. Co chwila ktoś kładzie się na ziemi i płacze. Nikt sobie nic z tego nie robi, więc podnosi się z zaciśniętymi zębami i kuleje, ale do „gały" biegnie, tylko kurz za nim. Padają krzyki i przezwiska.

Krzyś kiwnął Franka, już jest przed bramą przeciwnika, nagle czuje pchnięcie z tyłu i kopnięcie w kostkę. To Mietek! Rzuca się na niego z rękami.

— Za coś mnie kopnął?

— To ja? — jedynak największego we wsi bogacza krzywi złą gębę.

— Nie ty? — pokazuje mu pięść.

— No, spróbuj mnie tknąć! Jaki mądry jołek!...

— Krzysiek! Krzysiek! — krzyczą już na niego. — Piłka!

Patrzy na graczy stary, kulawy Nowak w koszuli wypuszczonej na porciaki. Siadł pod szopą strażacką na cementowym betonie, zapala fajkę, pyka białym dymkiem i trzęsie się ze śmiechu, gdy któryś z graczy zaryje nosem wtrawie. Ej, te nowomodne zabawy! Całkiem miasto się zrobiło. Gdzie to przed wojną coś takiego widziano! Jak to mówią? Juniory? A niech ich kolka zeprze!

Tuż przed boiskiem opada ku pastwisku ogród Buczaka. Rosną grusze i georginie, a w tym wszystkim kryje się dom. Ale sztachety w płocie wysokie, wysokie. Jest pięknie. Urywanym lotem spadają między chłopców bielinki - kapustniki. W chwilach ciszy słychać dzwonek brykającego po błoniu źrebaka...

No, nareszcie! Partia Mańka wygrała. Wsunęli Mietkowi piętnaście. Ostatnie strzały były z wykopu Krzysia. No, przynajmniej, tyle mu dał! Niech uważa na drugi raz i nie szarpie się.

Rozbierają się do koszul i jest zmiana stanowisk. Krzyś grał na „skrzydle", a teraz stoi w „bramce" i znowu pójdzie na środek, gdy tylko odetchnie. Naprzeciw jego bramki widać dom Selwów. Dach pokrywa czerwona i biała dachówka, a okna mają niebieskie framugi. U okien rosną astry i malwy, przy szopie koło betonowej studni — słoneczniki.

Pod tymi słonecznikami siedzi właśnie na osuszonej ławce wujenka Krzysia — Jadźka. A jak wypiękniała teraz! Patrzy bokiem, gdy ręce opiera o ławkę i zakłada nogę. Widać spod falbanek białej krakowskiej różowe pończochy.

Myśli sobie Krzyś: „czy ona mnie widzi?" i robi mu się bardzo przyjemnie.

— No, ty, nie wyłupiaj gał do dziewki, nie twoja!

Obziera się Krzyś gwałtownie! Znowu Mietek. Widzi jego szyderstwem przymrużone oczy. Łapie kopniętą piłkę, czuje gorąco na policzkach. Z daleka ktoś stroi ręczną harmonię i wydobywa walca. Przystają chłopcy na chwilę, wdychając muzykę.

— To Wojtuś Biernat.

Tak, to chyba Wojtuś. Prezes ZMP. Widać, jak z domów wychodzą zza zapłocia chłopaki i dziewczęta z głowami gołymi posłuchać tego walczyka. Jadźka także podchodzi do furtki w płocie.

✠

Krzyś usiadł na brzegu stawu i patrzy, jak chłopaki się kąpią. Koło niego na trawie pełno poskładanych na kupki zgrzebnych koszul, parcianek i płóciennych czapek. A woda jeno jęczy. Ci, którzy płyną, biją nogami, aż bryzga na brzeg. Kąpać się chodzi cała szkoła: rozpyskowani „Górzanie" i „Dolanie", opaleni przy pasieniu bydła. Także ci starsi, chodzący do klasy ósmej.

— Ciepła woda?

Krzyczą:

— Jaka ciepła! Chodź, bejes widział. No, chodź!

Staw jest ogromny, ale niegłęboki. Na środku rośnie wiklina i jest porządne błoto, ale z brzegu pod nogami twardo i równo jak na bolsku.

Wskakuje do wody. Rzuca się na boki i nurza po kilka razy, żeby nabrać ciepła.

Wymyślili zabawę w Murzynów. Na drugim brzegu rośnie wiklina w głębokim, zimnym błocie. Przedostają się przez wiklinę na drugą stronę stawu i pałkają w mule czarnym jak maź. Z dzikim wyciem, popychając się i rycząc ze śmiechu wyskakują potem jak ludożercy z wody, ciejdają po pastwisku i straszą dziewczynki wracające ze sklepu. Dziewczęta piszcząc uciekają i płaczą w przestrachu. Że to takie zaraz muszą płakać!

Są przynajmniej pewni, że nikt ich tu nie pozna i nie będzie łapał w tym „przebraniu". Nagle krzyk:

— Konie, konie!

Oho, konie ze spółdzielni. Wojtek Biernat pędzi konie do kąpieli. Biegną wszyscy co tchu na spotkanie. Krzyś też. Lecą, lecą konie na zbity łeb w staw, pierwszy wpadł ogier, tarza się już w wodzie, dzieci chluszczą nań tymi pomyjami, za nim rzucają się trzy klacze i wałach. Ej, teraz, Krzysiu, na brzuch ogierowi i na grzbiet — i wio, wio, po wodzie! Radość nieokiełznana!

Skacze do grzywy Krzysiek i już na ogierku. Ten ino wierzga. A za nim Mietek, Maniek i Franek. „Tylko wolno" — słychać krzyk Biernata, ale tyle ich ma. Śmiech ich goni na rozkosz, wiatr smaga po czarnej, upaćkanej skórze, pęd grzeje krew, słonko rozpala złoto w oczach. Od stawu długie ,długie wołanie:

— Milicjant.

O wa, milicjant! Jeszcze jedno kółeczko dookoła remizy. Kto lepiej, kto szybciej. Żeby tylko tego bułanego Mietka prześcignąć. Nakręca Krzyś i nagle — oczom swoim nie wierzy: tak, idzie ktoś od strony kościoła w mundurze. Idzie milicjant drogą, ale ba, nie sam. Dziewczynę jakąś trzyma pod pachę.

Oto przechodzą teraz koło koryta z wodą. Idą oboje z odkrytymi głowami. Cichutko, nawet kosów i wilg nie słychać w olszynach, świerkają tylko żytniane zagony wysokie i gęste. Milicjant ma oczy siwe i spokojne jak woda. Czesze się na jeża. Widać teraz. Czoło ma odrobinę bielsze niż twarz, nos prosty. Jak to dziwnie widzieć milicjanta tak z bliska, bez czapki i karabinu! Władza! Piękny, galowy mundur, spodnie po kostki, pas koalicyjny przez ramię i nagan w nowej pochwie.

Rozpiął żołnierz pod szyją kołnierz. Cała jego gęba promienieje, jakby dusza chciała rzec: Ach, jak tu miło na wsi! Niebieskie czako niesie mu za daszek, no wiecie kto? Widać teraz... Jadźka, a ma na sobie w tej chwili spódniczkę w jabłuszka i kwiatki a gors zielony. Stąpa lekko w wysokich korkowcach i rumieni się, bo chłopcy patrzą z koni ciekawie, bezczelnie.

Krzysia podnieca najwięcej rąbek kraciastej chustki w czapce milicjanta. To chustka z jej głowy. Powoli i świątecznie przechodzi młoda para pod sad Pikora.

— Ładną sobie pannę wybrał — szepce Maniek.

— W całej wsi tu nie ma ładniejszej — popiera go całą duszą Franek Antyt. — A gdy to mówi, serce zamiera Krzysiowi i z bólu i żalu.

✠

Wieczór kroki jego prowadzi nad rzekę pod sklep spółdzielczy. Przechodzi przez groblę i nagle, widzi — nad rzeką... ona!

Odwraca się, ale w tej chwili przecina mu pierś niewysłowiona słodkość. Słyszy:

— Nie uciekaj, Krzysiu, nie uciekaj.

Coś tam prała. Rzeka zastawiona groblą szeroką jak miedza. Po wodzie konopie się moczą, przywalone darniami murawy. Płótna samodziałowe leżą na trawie. Po tych płótnach przechodzi boso z zaciśniętymi zębami. Jadźka w tej chwili kończy swą chlapaninę! Wyprostowuje się, strzaskana wodą. Biała, krótka bluzka o kęs nie pryśnie pod wyprężoną piersią.

— Krzysiu, dobrze, żeś tu jest, pomóż mi, przecież kuzyn. Przechyla się i ujmuje ją za rękę, wyciąga na brzeg.

Miłe ciepło opływa go, jakby dotykał ręki z jedwabiu.

Idą sobie koło rzeki, potem koło spółdzielni. Kukułka jeszcze kuka, w liściach kasztanów niedalekich.

Ktoś krzyczy od sklepu:

— A gdzie futbol!?

Mietek! Naturalnie, kto by inny! Rozumie: zazdrość mu. Tak, zazdrość, że idzie sobie oto syn biedniaka z ładną dziewczyną, a on, choć ma ojca bogacza, musi się z daleka oblizać.

Wszędzie pachną kwiaty ziemniaczane, wszędzie pachną lipy. Idzie z najładniejszą dziewczyną. Z dziewczyną, która ma już kawalera.

Przerywa się dopiero cisza w międzywrociach.

— Jutro wyjeżdżam. Na ślub — szepce Jadźka.

Nie umie odpowiedzieć. Czuje tylko, że go w gardle nagle coś uciska. Ale i z Jadźką coś się dzieje. Właśnie stają na moment. Widzi, że płacze. Zbiera mu się trochę odwagi i zapytuje cichutko i prawie tkliwie:

— Jadziu, co ci to?

Wtedy... obejmuje go ramionami i całuje szybko, potem drugi raz i trzeci.

Onieśmielony podnosi głowę.

— Jadę do męża. Wiesz, miasto! Ach, jak mi miło. Ty nie zrozumiesz. Całowałabym burego psa ze szczęścia!

Jan Bolesław Ożóg

Foto J. K. Maciejewski

WŁADYSŁAW UDALSKI

Zobowiązanie zlotowe poety

WSPOMNIENIE Z BEDLNA

Zetempowcom z fabryki im. Wilhelma Piecka w Zychlinie.

Lubię po dniu upalnym łomot burzy
z ciemną zasłoną chmur i deszczu
i wiatr, co po gościńcach kurzy
i drzewa, co kroplami szepczą.

Lecz w Bedlnie — na dziedzińcu POM-u —
burza wstrząsnęła mną jak pożar,
gdy w rozjarzonych błyskach gromów
przejrzały się dojrzałe zboża.

Bo oto na spółdzielczych gruntach
leży niezestawiony jęczmień
i snopów nie ma komu sprzątać,
a chmury idą coraz cięższe.

Za chwilę lunie deszcz i plon —
nadzieja wspólna i zwycięstwo —
zrośnie, jak rdza porasta złom,
z gnijących snopów wionie klęską.

Za chwilę lunie deszcz i kułak
podniesie znów przygięty łeb,
z radością w ślepiach wieś obhula:
„Zgnoili chleb".

A ich na polu tylko sześciu
przeciw dziesięciu morgom snopów,
nie zdążą więc przed ścianą deszczu
i jęczmień strugi wód zatopią.

Z POM-u pobiegło nas kilkoro,
lecz ciężkich snopów gąszcz nie rzednie
i deszcz przekreśli rok uporu,
spółdzielnia przegra żniwa w Bedlnie.

Wtedy z fabryki, od Żychlina
wpadła na pole ciężarówka
i ledwo szofer ją zatrzymał
już zetempowcy, zetempówki,

ci, co w spółdzielni każdy szczegół
znają, bo nie od dziś tu jeżdżą —
stawiają rzędy snopów w biegu
by uratować chleb od deszczu.

Sąsiednią wieś już objął deszcz
więc siły każdy z nas natężył
bo trzeba wszelkie normy znieść
by w walce z burzą czas zwyciężyć.

Ostatnie snopy omoknięte
stawialiśmy w ulewie ostrej,
lecz nasze było już zwycięstwo —
zwycięstwo zetempowskie.

Foto CAF

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

PRZYPOMNIENIE

Uczniom i absolwentom XI Państw. Lic. w Łodzi, uczestnikom kolonii wypoczynkowych w Górach Bystrzyckich.

Kiedy z młodzieżą rozśpiewaną
Z kolonii naszej spod Łomnicy
Schodzimy barwnym wężem rano
Z grzbietu Kamiennej, by leśniczym,

Pomóc w pieleniu szkółki buków
(Kupiecki topór ogołocił
Z buczyny śpiewny stok Kobłuku),
Wejdziemy nagle w gąszcz paproci.

Dalej Bystrzyca bursztynowa
Podbiega, lekko drżąc, pod mosty,
Które przed laty wybudował
Z ciosów piaskowca człowiek prosty.

Kto on? — Sas-przybysz? Dawny Ślązak?
Drwal-Czech, bohater Gór Orlickich
W latach, gdy mieczem chciał rozwiązać
Magnackie pętle ruch husycki? —

Nie wiemy, ale miło młodym
Po mostach, której tutaj wznieśli
Iść, by wyrównać pańskie szkody,
Czynione nawet głębiom leśnym —

Po mostach, które spracowane
Dłonie spajały na lat trzysta,
By później człowiek w taki ranek,
Jak dziś, mógł z trudu ich korzystać.

TADEUSZ GICGIER

PIERWSZA PODRÓŻ

Władysławie

Pociągi, przeczucia podróży!
Słupy uciekające, wioski, lasy i pola!
Modre na horyzoncie łańcuchy wzgórz — i
morza, lśniące z oddali w słońcu jak opal!

Ziemio, ziemio rodzona, nareszcie nasza!
Rozkwitła w naszych ramionach jak jabłoń wiosną!
Przywracająca uśmiech obliczu starca!
Ciesząca dzieci, które w twym cieniu rosną!

Światła, światła w dolinie gwiaździstą nocą!
Prześwietlające zieleń ogrodów szyby!
Okna, patrzące ku mnie jak dwoje oczu
rozmiłowanych w życiu, młodych, szczęśliwych!

Miła oto nas podróż czeka dziś pierwsza!
Gdy na ramieniu mym rankiem jutro się zbudzisz,
ujrzysz — jak w słowach mego każdego wiersza —
przyjazne twarze prostych, życzliwych ludzi.

KAZIMIERZ KOSZUTSKI

LISTY DO ŻONY

I

Naszym dniom za ciasno w kusych koszulinkach godzin,
nasze lata się w czterech ścianach pór roku nie mieszczą.
Wiesz dobrze, miła, jak trudno nieraz pogodzić
najważniejsze: żar partyjnych zadań z ciepłem twoich pieszczot.

Nawet nocą w najbliższym sąsiedztwie twych ust
na skąpej działce snu pęczniejąźdźbła spraw,
jakbym w łanie ozimin kiełkował i rósł: —
Pilne. Poufne. Natychmiast. Załatw. Sprawdź.

A jednak na inne, przytulniejsze szczęście
nie zmieniłabyś, miła, twych zmartwień codziennych.
I bardziej niż we śnie bliscy sobie jesteśmy,
gdy gdzieś w powiecie agituję za spółdzielnią.

Tylko czasem, jak ciemny obłok, niepokój — że nie zdążę:
Jakże wielu radości, iluż trosk jeszcze nie znam...
Tyle ust, tyle miast, tyle książek,
a życie, psiakrew, jedno...

Foto CAF

II

Mój świat się nie kończy w twoich oczach,
lecz wszystkie na nim drogi nasycone ich światłem.
W cichym, ciemnym cieniu wypocząć
od rozłąki, od nocy i deszczu i wiatru.

Dalekie twoje usta. Noc. Dłonią nie dostrzec
dalekich w deszczu okien, przez które na drogę patrzysz.
Może są drogi bardziej potoczne. Lecz prostszych
nie ma. I w radość wspólną bogatszych.

Nie zagubię jasnej wstążki twego głosu
wśród pejzaży, które noc wikła i gmatwa.
Dokądkolwiek mnie drogi moje poniosą
świeci mi twoich oczu nieustające światło.

**) Patrz: E. Szuster — Na tropach sprawy Balcerka (Nr 24); F. Fenikowski — Stoczniowcy z „Młodej Gwardii" (Nr 25); W. Rymkiewicz — Dziewczęta z Czwartej Lewej (Nr. 26); J. Danecki — O możliwościach młodzieży (Nr. 26); M. Niewiarowski — Przeszłość tragiczna i zawstydzająca (Nr 27); W. Rymkiewicz — Pierwsza czwórka przędzalnicza (Nr. 27); F. Napiórkowski — My, najmłodsi (Nr. 27).*

EDWARD SZUSTER

Obserwacje, uwagi, wnioski

NAJBARDZIEJ to nas na początku zainteresowały budynki. Przyjechaliśmy, na ten przykład, do kołchozu „Czerwona Ukraina" w sumskiej obłasti, czyli po naszemu w województwie

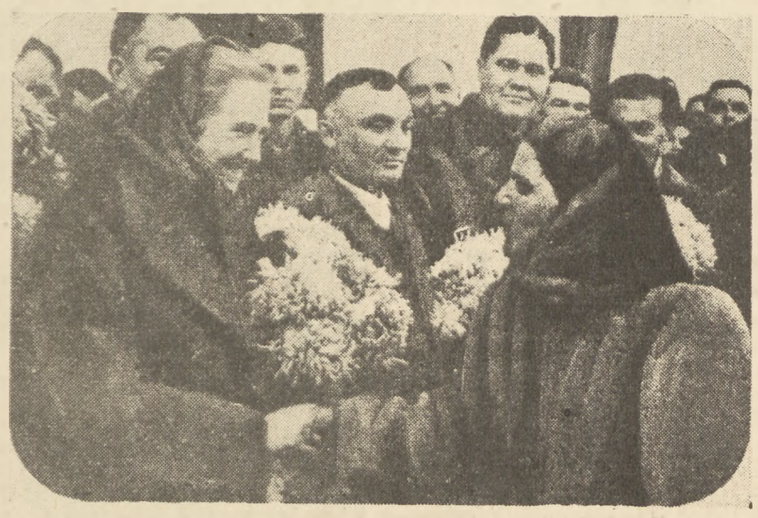

sumskim, a tam budynki zwyczajne. Dziwnie nam się zrobiło i zaraz pytamy tych kołchoźników: dlaczego sobie elegantszych mieszkań nie postawicie?

Tak zaczął opowiadać o swych wrażeniach z wycieczki do Związku Radzieckiego Teofil Piasecki.

Spotkanie nasze należało do jednego z tych częstych, przypadkowych spotkań ludzi, którzy oczekując na drodze na autobus skracają sobie czas pogawędką. Dopiero po paru minutach rozmowy o pogodzie dość kapryśnej w tym roku, Piasecki powiedział coś, co nasunęło mi przypuszczenie, że jest jednym z tych chłopów polskich, którzy niedawno odwiedzili Związek Radziecki. Rzecz jasna, że od tej chwili w rozmowie naszej nastąpił radykalny zwrot: ja ograniczałem się do roli słuchacza, a Piasecki opowiadał. Zaczął właśnie od tych budynków w „Czerwonej Ukrainie".

— To znaczy kiepsko tam mieszkali? — zapytałem zaciekawiony.

Piasecki potrząsnął przecząco głową.

— Żeby kiepsko, to nie można powiedzieć. Zwyczajnie, rozumiecie, mieszkali w wiejskich chatach. Czysto, porządnie, ale myśmy myśleli, że zobaczymy jakieś luksusowe budynki. No i właśnie pytamy się dlaczego, a oni — ci kołchoźnicy — powiadają: u nas produkcja na pierwszym miejscu, jak produkcję damy to i dochód będzie i o mieszkaniach się pomyśli.

Piasecki przerwał i spojrzał na mnie jakby chciał sprawdzić czy zrozumiałem całą sprawę. Jakie wrażenie odniósł w rezultacie tej lustracji — nie wiem; w każdym razie uznał widocznie za właściwe jeszcze dodać nieco wyjaśnień.

— Tam, w tej „Czerwonej Ukrainie" Hitler w czasie wojny ze szczętem ich zniszczył no i musieli się od początku gospodarzyć. Mieszkania sobie odbudowali tymczasowo, po staremu, a budynki gospodarskie i inne inwestycje na pierwszy plan poszły, od razu jak się należy ,nowocześnie. I mądrze zrobili, nie tak jak to u nas miejscami bywa, że pierwsza rzecz — spółdzielcy domy sobie stawiać chcą. I co z tego? Ciężar dla gospodarki, a ona po staremu stoi i udźwignąć go nie może.

Przysiedliśmy na ławce i zapaliliśmy. Piasecki zaciągnął się głęboko i opowiadał dalej z widocznym zainteresowaniem.

— A tam gospodarka rozwinięta jak się patrzy. U nas, można powiedzieć, takich widoków nie zobaczy. Pokazali nam w innym znów kołchozie pole buraków; było tego z dziesięć hektarów. I co powiecie? Ani jednego chwasta na tym polu, tak elegancko wypielone traktorami. No to i zbierają z hektaka 400 metrów czyli kwintali, bo tak tam się metr nazywa. Ale najwięcej to mnie hodowla obchodziła, bydło, bo ja, rozumiecie, przed wojną za szwajcara byłem w majątku, w Rokszycach. Wiecie gdzie Rokszyce?

Skinąłem potakująco co Piasecki przyjął z zadowoleniem.

— No właśnie. Nie można powiedzieć, nie ostatnia tam była obora i na bydle to ja się znam. No to jak usłyszałem, że oni tam do 45-ciu litrów na dzień mają od jednej krowy to mnie ciekawość wzięła. Byliśmy akurat w sowchozie im. Lenina, też w sumskiej obłasti: bydło tam piękne. Krowa 850 do 900 kilogramów waży a doją ją cztery razy i taki właśnie udój mają. Niemożliwa rzecz — powiadam tym oborowym, a oni na to: poczekajcie do udoju, zobaczycie.

Zaczekaliśmy, ma się rozumieć, choć nam już czas był odjeżdżać. Prowadzą nas do obory, czwarta godzina była właśnie i na trzecie dojenie pora. Trzydzieści parę osób nas się tam zebrało z tej wycieczki a dojarka powiata: starczy dla was mleka od jednej krowy. No i rzeczywiście. Elektrycznie doili a myśmy patrzyli ile też krowa da. Ja na trzy krowy uważałem: jedna dała 11,5 litra, druga — 9,5, trzecia znów — 10. Taka tam produkcja. Kołchozowe krowy — to samo.

Piasecki westchnął i pokiwał głową. Widać było, że szczerze i mocno zazdrości ukraińskim kołchoźnikom wyników ich pracy.

— Dobrze sobie ludzie tam żyją — zauważyłem, a towarzysz mój zrozumiał, że mam w tym względzie wątpliwości, więc z ożywieniem wyprostował się na ławce.

— Bardzo wspaniale żyją — oświadczył. — Niczego im nie brak do życia. Widzieliśmy przecie, bo nas przyjmowali i tu i tam, gdzie nam być popadło. Naród serdeczny i gościnny bardzo. Najpierw kołchoz czy sowchoz przyjęcie urządzał a potem chodziliśmy do ludzi do domów, gdzie się komu spodobało i tam znów częstowali. Po pierwszym dniu tośmy nawet uradzili, żeby najpierw gospodarstwo oglądać a potem dopiero do stołu siadać, bo jakby inaczej, to czasu na zwiedzanie gospodarki mogło braknąć. I na siebie też trzeba było uważać, bo przecież nie wypadało, żeby się delegat z wycieczki zabarłożył czy jak.

Uśmiechnął się Piasecki porozumiewawczo i przymknął znacząco oko, potem opowiadał dalej.

— Drugi znów kłopot był z kobietami z naszej wycieczki. Niektóre to takie były ciekawe, że gospodyniom po domach do garnków zaglądały, aż człowiekowi czasem wstyd było. Dobrze, że kołchoźnicy co kto chciał pokazywali i wcale się nie gniewali. Weszliśmy na ten przykład do chaty z jedną kobietą z naszej wycieczki, a ona zaraz pyta: obrazy u was na ścianie wiszą, znaczy się — wierzący?

— Żona wierząca — powiada kołchoźnik — to sobie i obrazy powiesiła, a ja niewierzący jestem. Stara tam babka była i zaraz powiada, że u nich konstytucja taka, że państwo się do wiary nie wtrąca i każdy robi jak uważa. Aż mi się dziwno zrobiło, że taka stara kobieta konstytucję zna i objaśnić ją potrafi. Żeby to u nas ludzie tak dobrze znali swoje prawa...

— I obowiązki też znają jak należy — ciągnął Piasecki po krótkiej przerwie. — Do pracy, na przykład, wyganiać nikogo nie potrzeba. Każda brygada umawia się sama kiedy robotę zacznie, kiedy skończy. Rozumieją ludzie, że bez pracy marne życie: nie zarobisz — biedę klepał będziesz. Za to starzy co już są po sześćdziesiątce mogą do pracy nie wychodzić, bo emeryturę mają. Ale mało który starszy człowiek siedzi i nic nie robi, bo się przecież bez pracy przykrzy, no to chodzą do roboty i jeszcze do emerytury zarobek mają. Wcale inaczej to wygląda niż tu u nas przed wyjazdem poniektórzy mówili.

— A co wam takiego opowiadali? — zapytałem zaciekawiony tymi przestrogami jakich na pewno nie szczędzili Piaseckiemu na drogę zbałamuceni lub pragnący innych zbałamucić sąsiedzi. Piasecki roześmiał się lekceważąco i machnął ręką.

— Różne bujdy opowiadali. Takie na przykład, że kołchoźnikom nie wolno z kołchozu nigdzie wyjeżdżać i żeby łatwiej było upilnować, to w każdym kołchozie obowiązkowo ubranie przepisowego koloru nosić trzeba. A tam, rozumiecie, każdy ubiera się według gustu a jak wyjechać gdzie chce to jedzie. Na bazar, na przykład, jeżdżą. W jednym kołchozie, znaczy się buraki uprawiają, to każdy z tej brygady ma cukru dużo; w innym znów zboża więcej prowadza, no to potem na bazarze sprzedają to co im zbywa a kupują co trzeba. Żadnego skrępowania nie ma, bo co kołchoźnik za dniówki dostanie to jego i może z tym co chce zrobić.

— Mówili też, że nam swobodnie chodzić nie będzie można na tej wycieczce. Byli tacy co uwierzyli i chcieli zobaczyć jak to jest. W Moskwie, na przykład zaraz po przyjeździe dwóch kolegów na spacer się wybrało. Tyle że mało co nie zabłądzili, bo Moskwa — miasto ogromne, ale nikt im chodzić nie bronił. A wiecie jaki tam ruch w Moskwie?

— Podobno bardzo duży — odpowiedziałem nie mając na ten temat żadnych własnych obserwacji i doświadczeń.

— Pewno że duży — zgodził się Piasecki. — Zaraz wam powiem. Liczyliśmy ile też samochodów przejedzie przez godzinę przed naszym hotelem. No i ile było, zgadnijcie?

— Czy ja wiem?

Piasecki spojrzał na mnie triumfująco.

— Tysiąc trzysta sześćdziesiąt osiem. Rozumiecie, tysiąc trzysta sześćdziesiąt osiem — powtórzył pragnąc mi dać ścisłe wyobrażenie o ruchu ulicznym w stolicy Związku Radzieckiego. — Dwieście dwadzieścia osiem samochodów na minutę. Aż liczyć było trudno.

— Zadowoleni jesteście z wycieczki? — zapytałem przytłoczony nieco tymi statystycznymi dowodami. Piasecki podrapał się po głowie.

— No a jak? Pewno. Zobaczył człowiek jak można żyć. Wiecie, na początek to chcieliśmy każdy drobiazg zobaczyć i do domu przywieźć. Ziarno, na przykład, specjalne ktoś zobaczył, to zaraz prosił żeby mu parę choć sztuk dali. No to pierwszego zaraz dnia jakeśmy z kołchozu wyjeżdżali, to w różnych woreczkach naznosili nam ze 4 metry różnego ziarna, aż nie było wiadomo co z tym robić. Uciecha była, bo ludzie myśleli, że zaraz u siebie te ziarna zaprowadzą. Ale potem to każdy zrozumiał, że nie ziarno najważniejsze. Cóż z tego że buraki specjalne posadzi, jak ziemi maszynami nie uprawi, nawozu należycie nie da? Zmarnieją, chwastem zarosną bez tych traktorów do pielenia. Potem tośmy już nie brali ziarna. Tak wychodzi, że pierwsza rzecz taką gospodarkę ustawić jak u nich jest. Bez tego po staremu wszystko zostanie i tylko człowiek będzie zazdrościł, że tam ludzie żyją po ludzku. Mądrze, swobodnie i dostatnio. Trudna sprawa.

Edward Szuster

O umocnienie spójni przez handel

(dokończenie ze str. 1-szej)

Trzeba więc umacniać gospodarkę PGR, zakładać coraz więcej i więcej nowych spółdzielni produkcyjnych i umacniać gospodarkę w starych, ale trzeba też jednocześnie, budując mosty prowadzące do spółdzielczości produkcyjnej, podnosić towarowość drobnych i średnich gospodarstw chłopskich.

A mamy do tego wiele dźwigni: propagandowych (wyjaśnianie przyczyn opóźniania się rolnictwa oraz środków prowadzących do ich usunięcia), administracyjnych (przymusowe dostawy zboża, ziemniaków, mięsa i mleka—których słuszne, klasowe stosowanie ma ogromny wpływ na wzrost globalnej a zwłaszcza towarowej produkcji naszego rolnictwa) i ekonomicznych stosowanie bodźców ekonomicznych, zachęcających do podnoszenia towarowej produkcji w rolnictwie).

Takim właśnie skutecznym — bo dostosowanym do charakteru drobnotowarowego gospodarstwa, które zaspakaja swe potrzeby nie przez sprzedaż swej zdolności do pracy i siły roboczej (jak klasa robotnicza), ale przez sprzedaż na rynku wyprodukowanych w swym gospodarstwie towarów — bodźcem ekonomicznym jest właśnie wolna sprzedaż nadwyżek.

Powiązanie dopiero tych trzech dźwigni: propagandowej, administracyjnej i ekonomicznej i ich prawidłowe, klasowe zastosowanie w terenie da spodziewane rezultaty i podniesie niewątpliwie, po pewnym rzeczjasna czasie, na wyższy poziom towarowość drobnych i średnich gospodarstw chłopskich.

Dalszą sprawą są zasady i formy, w których wolna sprzedaż ma się odbywać, jaki powinien być udział w tym handlu Gminnych Spółdzielni i Oddziałów Zaopatrzenia Robotniczego itp. Do dyskusji na ten ogromnie żywotny i niesłychanie ważny temat zapraszamy działaczy terenowych i chłopów mało i średniorolnych, a zwłaszcza korespondentów chłopskich, którzy z taką trafnością roztrząsali te zagadnienia w czasie Krajowego Zjazdu Korespondentów Chłopskich.

Stanisław Cieślak

EDWARD POCHROŃ

OPOWIEŚĆ MATKI O DZIECIACH

„NAJDROŻSZYM skarbem dla człowieka jest życie. Dane mu jest tylko raz i należy je przeżyć tak, by umierając móc sobie powiedzieć: całe życie i wszystkie siły oddałem najpiękniejszej sprawie świata — walce o wyzwolenie ludzkości." Te słowa jako nakaz i hasło swojego życia wpisała do pamiętnika młoda uczennica szkoły moskiewskiej. Te same słowa zostały wyryte w czarnym marmurze grobowca partyzantki radzieckiej Zoi. A któż nie wie w Związku Radzieckim, że tą celującą uczennicą, a później bohaterską partyzantką, która prawdy owych słów Mikołaja Ostrowskiego dowiodła swoim krótkim życiem i śmiercią za wolność ojczyzny — jest Zoja Kosmodemiańska.

Wyzwolenie ludzkości — idea piękna, ale niełatwa, wymagająca od człowieka bohaterskiej ofiarności i siły charakteru. Zoja Kosmodemiańska dobrze sobie z tego zdawała sprawę. Od najmłodszych lat przygotowywała się do współudziału w realizacji tej idei. Opowiada matka:

„— Zoju, czemu jesteś taka zasępiona?

— Dostałam „celująco" z chemii — odpowiada z niechęcią Zoja.

Na twarzy mojej odzwierciedla się takie zdumienie, że Szura nie może się powstrzymać i wybucha głośnym śmiechem.

— Martwi cię celujący stopień?— pytam nie wierząc własnym uszom.

— Zaraz ci wytłumaczę — mówi Szura za Zoję, która uparcie milczy — Bo widzisz, ona uważa, że na stopień ten sobie nie zasłużyła, gdyż nie umie chemii na „celująco".

Ten drobny szczegół wymownie świadczy o tym, jakie wymagania młodziutka Zoja stawiała wobec siebie samej.

„Wielkiej idei" uczyła się Zoja Kosmodemiańska na przykładach postępowej myśli ludzkiej, ludzi walczących o wolność ludzkości, na przykładzie postępowej literatury świata. Najgłębiej przeżyła, jak świadczy matka, losy M. Czernyszewskiego, wielkiego myśliciela rosyjskiego oraz historię komunardów paryskich. W jej dzienniczku lektur spotykamy nazwiska takich pisarzy, jak: Żukowski, Karamzin, Puszkin, Lermontow, Tołstoj, Dickens, Byron, Molier, Szekspir, Czechow, Majakowski, Gorki, Cervantes, Longfellow, Goethe, Sałtykow-Szczedrin, Stendhal, Balzac. O tym, jak Zoja reagowała i przyjmowała utwory tych autorów, świadczą jej uwagi na temat niektórych książek. Np. o „Otellu": *„W „Otellu" widzimy walkę człowieka w imię wysokich ideałów prawdy, czystości moralnej i szczerości ducha. Tematem „Otella" jest zwycięstwo prawdziwego, wielkiego ludzkiego uczucia".* Te książki i bieżące wypadki polityczne (wojna domowa w Hiszpanii, II wojna światowa) nauczyły dzieci L. Kosmodemiańskiej, że *„Francja nie jest dla nich ojczyzną Petaina i Lavala, lecz krajem Stendhala i Balzaca, krajem komunardów; Anglicy — potomkami wielkiego Szekspira; Amerykanie to dla nich ci, z których wywodzili się Lincoln i Washington, Twain i Jack London. I chociaż wiedzieli już, że hitlerowcy narzucili światu potworną niszczycielską wojnę, zagarnęli Francję, stratowali Czechosłowację i Norwegię — prawdziwe Niemcy były dla nich nie tym krajem, który zrodził Hitlera i Goebbelsa, lecz tym, w którym tworzyli Beethoven, Goethe i Heine i gdzie urodził się wielki Marks".*

Mal. D. A. Szmarinow.

Ukochanie wielkiej idei, ukochanie Ojczyzny, przywiązanie do postępowej tradycji kultury ludzkości kazało Zoi oddać swe młode życie, przed którym otwierały się wspaniałe perspektywy. Gdy hitlerowcy zakładali jej powróz na szyję. Zoja wierzyła, że jej śmierć nie pójdzie na marne, że jej śmierć zostanie pomszczona: *„— Powiesicie mnie zaraz, ale ja nie jestem sama. Jest nas dwieście milionów, wszystkich powiesić nie zdołacie. Zemszczą się na was za mnie. Żołnierze! Póki jeszcze nie jest za późno, poddajcie się: wszystko jedno, zwycięstwo będzie nasze".* Słowa Zoi spełniły się. Armia Czerwona, w której walczył również jej brat Szura, czołgista, Bohater Związku Radzieckiego, poległy na polu walki pod Królewcem, zawiesiła zwycięski czerwony sztandar w Berlinie.

Nie ma już Hitlera i Goebbelsa, ale jest faszyzm, jest imperializm, są spadkobiercy Führera, którzy stosują i ulepszają jego metody na Korei, w Vietnamie. Ale równocześnie matki protestują przeciw wojnie, która pochłania ich najdroższy skarb — dzieci. Kongresy Pokoju w Paryżu, w Warszawie... Tu ważą się losy narodów i ludzkości. Zdecydowanie brzmiał w 1949 r w olbrzymiej sali Pleyela w Paryżu głos delegata radzieckiego. Bohaterski lotnik Aleksiej Maresjew, powitany burzą oklasków mówił:

„— Każdy człowiek powinien zadać sobie pytanie: „Co czynię dzisiaj w obronie pokoju?" Nie ma dzisiaj bardziej zaszczytnego, bardziej wzniosłego i bardziej szlachetnego celu aniżeli walka o pokój. To obowiązek każdego człowieka..."

Na tej samej sali siedzi matka dwojga dzieci, nieugiętej partyzantki Zoi i czołgisty — Bohaterów Związku Radzieckiego, którzy zginęli w obronie ojczyzny, Luba Kosmodemiańska. I ona zastanowiła się nad słowami A. Maresjewa: *„Co czynię dzisiaj w obronie pokoju?"* I wtedy właśnie postanowiła, przełamując macierzyński ból, opisać życie i bohaterską śmierć swojej córki i syna. *„Opowiem o swoich dzieciach, o dzieciach, które urodziły się i rosły dla szczęścia, dla radości, dla pokojowej pracy — i zginęły w walce z faszyzmem, broniąc pracy i szczęścia, wolności i niezawisłości swego narodu".*

„Opowieść o Zoi i Szurze" *) książkę o dzieciach napisaną przez matkę, autorka poświęciła i zadedykowała wszystkim matkom, które walczą o pokój, które wychowują świadomych i dzielnych synów ojczyzny — bohaterów frontu pokojowej pracy. Wdzięczni jesteśmy L. Kosmodemiańskiej, która opisując po prostu metodą pamiętnika każdy ważniejszy dzień swoich dzieci, pokazała nam, jak żyli, jakimi ludźmi byli w codziennym życiu przyszli Bohaterowie Związku Radzieckiego, których czci naród radziecki i cała postępowa młodzież świata.

Luba Kosmodemiańska pisząc opowieść o swoich dzieciach myślała przede wszystkim o coraz potężniejszym proteście matek przeciw nowej wojnie. Myślała o tym, że przykład jej dzieci, którym faszyzm złamał szczęśliwe życie, jeszcze bardziej obrzydzi wszystkim matkom wojnę i ludzi, którzy jej pragną, a równocześnie umocni je w wierze, że siły pokoju są niezwyciężone, bo pokoju broni kraj, którego dzieci zdolne są do takiego poświęcenia jak Zoja i Szura. Przykład losów Zoi i Szury nauczy matki i pomoże im w wychowaniu dzieci, dla których największym szczęściem będzie umiłowanie ojczyzny i pokojowej pracy.

W przedmowie „Do polskiego czytelnika" L. Kosmodemiańska pisze: *„Będę niezmiernie szczęśliwa, jeżeli ta książka zawierająca proste opowiadanie matki o życiu jej dzieci — Zoi i Szury Kosmodemiańskich — pomoże matkom polskim w wychowaniu dzieci na wiernych synów Ojczyzny i natchnie młodzież polską do nowych zwycięstw na froncie pracy w imię potęgi młodej demokratycznej Rzeczypospolitej Ludowej, w imię walki o pokój i socjalizm!"*

Zlot Młodych Przodowników Polski Ludowej pokaże, że młodzież polska stała się godną nazwać się również spadkobierczynią wielkiej idei Zoi Kosmodemiańskiej.

Edward Pochroń

**) L. Kosmodemiańska: „Opowieść o Zoi i Szurze", tłum. z ros. E. Słobodnikowa, oprac. liter. E. Wigdorowej. M.O.N. 1951, str. 288.*

Za drutami kolczastymi...

(dokończenie ze str. 2-giej)

Okrakiem stojący oficerek angielski czytał powolnym i przesadnym głosem. Pod masztem błękitno-czerwono-białej flagi dziękowano nam za naszą wytrwałość w służbie wojskowej i zachęcano do wstąpienia w szeregi armii Jego Królewskiej Mości Jerzego VI.

Byliśmy wszyscy zdecydowani na powrót do ojczyzny.

Oficerowie odjechali wreszcie. Nie namawiano nas więcej na pozostanie w koloniach. Natomiast racje żywnościowe skurczyły się do niemożliwie mikroskopijnych norm. Odebrana nam została „godność alianckich żołnierzy" wraz z całkowitym zahamowaniem dostaw coca-coli i papierosów „Capstan". Paliliśmy więc greckie „Papastratos" oczekując rychłego odjazdu do Anglii, gdzie miała nastąpić oficjalna demobilizacja.

Wracając raz z miasteczka Ismalii zauważyłem Arabów ciągnących barki przeładowane bawełną i trzciną cukrową. Na tle wysokopiennych daktylowców szli czarni i wynędzniali starcy, szepcząc „Kismet" i młodzi, którzy spoglądali wrogo na mój angielski mundur.

Nad nami niebo ciemniało i zrywał się ostry hamsin. Arabowie przypadli do ziemi. „Allach! Allach!" — krzyknął kulejący starzec, prawie nagi, ze strzępem łachmanów na wyschłych jak trzcina biodrach.

— Kismet — powtórzyli starcy. Młodzi z przekleństwem zarzucili na plecy jarzma lin i poczęli przedzierać się przez burzę piasku. Wtedy starcy podnieśli się i ruszyli za nimi. Widziałem ich, jak oddalali się stąpając po grudach zeschłego piasku. Słychać jeszcze było omdlewające pokrzykiwania: Allach! Aschan!

Na chwilę nieprzenikniona płachta piaskowej zasnuła ich kołyszące się w rytm barek, zgarbione i czarne postacie.

Nagle jeden z robotników ciągnących barkę przystanął, rzucił na ziemię gruby powróz i cisnął we mnie kamieniem. Trafił w skroń, pociemniało mi w oczach i upadłem. Gdy odzyskałem przytomność zobaczyłem mój beret z białym orłem w ręku przewoźnika i jego jakby przepraszający gest. Ponad głową Araba dostrzegłem druty ,kolczaste mego obozu, jakbym je widział po raz pierwszy.

Zbigniew Zalewski

JACEK TRZNADEL

DROGA DO PIEŚNI WYSOKIEJ

TOM „Wiersze wybrane" Jerzego Zagórskiego[1]) wbrew swemu tytułowi nie jest właściwe wyborem. Z przedwojennej twórczości poety (tomy „Ostrze mostu" 1933 r., „Przyjście wroga" 1934 r., „Wyprawy" 1937 r.) i z pierwszego powojennego tomu „Wieczór w Wieliszewie" (1947 r.) zostało zamieszczonych zaledwie pięć utworów. Słuszna decyzja poety pokrywa się zarazem ze stosunkiem recenzenta do jego twórczości. Przedwojenna twórczość Jerzego Zagórskiego wychodzącego z grupy Żagary-Piony (mówiono również o „wileńskiej Awangardzie") stanowi dziś zasadniczo pozycję zupełnie martwą. Jeśli już było jakieś docieranie do społecznej rzeczywistości to w sposób najbardziej mętny, czasem nacjonalistyczny, a zresztą panowały w tej poezji — dziwność, estetyzm, bezpłodne idealistyczne spekulacje filozoficzne. Okres okupacji nie zbliżył o wiele poezji Zagórskiego do rzeczywistości społecznej i historycznej. Często utwory jego są tylko najbardziej ogólnie antyfaszystowskie (Wezwanie, Psalm — tom „Wieczór w Wieliszewie") nie związane jednak bezpośrednio z antyfaszystowską walką narodu.

Dzisiejsza recenzja nie ma być analizą dawnej poezji Zagórskiego, którą reprezentuje owe pięć pierwszych utworów w „Wierszach wybranych". Jest analizą części zbioru, którą poeta opatrzył tytułem „Wiersze nowe" zbierając tam utwory pisane od 1945 r., lecz przede wszystkim z ostatnich lat. Trzeba analizując je pamiętać o dwu elementach: drodze jaką przebył Zagórski od dawnej swojej twórczości, zbliżając się do realizmu, coraz silniej wiążąc się z socjalistyczną rzeczywistością. To pozwoli wydać ocenę przychylną. Trzeba jednak również pamiętać o drodze jaką zrobiła poezja polska w tym okresie wyprzedzając daleko w swoich osiągnięciach pozycje na jakich stoi Zagórski. Tutaj będzie leżeć źródło uwag krytycznych pod adresem obciążeń jakie z dawnej poetyki i ideologii niesie za sobą twórczość Zagórskiego.

Powiedzmy otwarcie: arealistyczna metoda pisarska, pozostająca w mieszczańskim kręgu postawa ideowa wywodząca się z pozycji, jakie zajmował Zagórski w dwudziestoleciu położyła pieczęć na części utworów zawartych w „Wierszach nowych", a zostawiła również jakiś ślad na prawie wszystkich utworach wyznaczających zbliżanie się Zagórskiego do realizmu, do postawy ideowej związanej z walką i budownictwem socjalistycznym.

Z obcych poezji realizmu socjalistycznego postaw ideowo artystycznych najwyraźniejsza u Zagórskiego jest postawa estetyzmu. Estetyzm u tego pisarza jest nie tylko materiałem twórczym, jest również pewnym programem. Najbardziej chyba dobitny tego wyraz dał Zagórski w obszernym poemacie „Pióropusz". Jest to dyskusja nad „rzeczami pięknymi". I o jakież „rzeczy piękne" chodzi Zagórskiemu? Spór estetyczny toczy się zawsze o wybór rzeczy pięknych, o połączony z tym sposób widzenia świata, o ideologię. I tó dopiero mówi nam ostatecznie o estetyźmie poety. Cóż należy u Zagórskiego do „rzeczy pięknych"? Świat będący dość niekształtną wizją, pokawałkowany, świat, który nie ma dziejącej się historii, lecz jest mozaiką najróżniejszych rodzajów „piękna" — oto co oddaje jakąś część atmosfery poematu. Gubi się w nim człowiek włączony w spis zwierząt, przedmiotów, zjawisk przyrody, wyrwanych z historii a kontemplowanych opisowo dzieł sztuki itd.

W innych wierszach poeta wraca do swych dawnych spekulacji na temat życia i śmierci, na temat czasu, łączy to pojęcie z metafizycznym pojęciem przestrzeni. W sumie — obraca się w kręgu idealistycznych pojęć, zamyśla się w filozoficznym bezruchu.

W znacznej części utworów z „Wierszy nowych" poeta daje jednak świadectwo próbom odpowiedzi artystycznej na zmiany dokonywające się w otaczającej go rzeczywistości. Zbliża się do nowej tematyki i nowego sposobu widzenia świata, do świadomej rezygnacji z „jedynego" i „samego w sobie" świata niesprawdzalnych przeżyć poety na rzecz związania z życiem narodu, jego walką i pracą, na rzecz przyjęcia zasadniczych cech nowego życia — jego optymizmu i rozwoju, jego humanizmu. Trzeba powiedzieć, że na tle uprzedniej twórczości Zagórskiego jest to skok rozwojowy. Jak jednak jest to połowiczne zbliżenie do nowej, bliskiej czytelnikowi kraju idącego do socjalizmu tematyki świadczą takie wiersze, jak np. programowy „Poetyka 1949".

W wierszu tym o nowej rzeczywistości mówić ma obraz pięknych robotnic, tańczących jak królowe i kilofów górników, którym również należy się miłość, a wszystko to zostało owiane intelektualnym estetyzmem teatrów Krakowa i jego żółtą mgłą. I cóż znaczy rzeczywistość ubrana w poetycką mgłę?

O tym, że wiele wierszy Zagórskiego stojących na pograniczu dostrzegania nowych spraw naszej rzeczywistości nie spełnia tej funkcji decyduje również wiele innych cech ideowo artystycznych twórczości poety. Leszek Herdegen pisząc o poezji Zagórskiego[2]) jako jeden z jej elementów wymienia „klasyczność". Cóż zalicza do tej „klasyczności"? Same tytuły poszczególnych utworów oraz kilkanaście słów zakwalifikowanych przez Herdegena jako klasyczne, jako wykreślone już dawno z poetyckiej mowy. Za zdobycz Zagórskiego uważa Herdegen umiejętność ożywienia tych konwencjonalnych, jak je nazywa, elementów — prawdą.

Nie można się zgodzić z tym pojęciem „klasyczności" liczonym przez Herdegena na korzyść poety. Wydaje mi się, że cechy artystyczne poezji Zagórskiego, które by można podciągnąć pod termin „klasyczności", cechy w obecnej chwili spełniające funkcję szkodliwą zostały przez Herdegena częściowo ujęte, lecz źle zinterpretowane. To konwencjonalne słownictwo, tę „klasyczność" określa i warunkuje najczęściej u Zagórskiego w chwili obecnej obserwacyjna postawa w stosunku do rzeczywistości. Bo cóż oznaczają w gruncie rzeczy owe gładkie, lśniące porównania, alegorie, ów chłód tej poezji, oddalenie od tematu, chyba nie klasyczne, lecz pseudoklasyczne. Gdy mówi się takim tonem o rzeczach bliskich, oburzamy się.

Są jednak utwory, i na tych należy zatrzymać się jako na ostatniej grupie, które idą dalej w docieraniu do tematyki naszego czasu i do znajdowania dla niej bardziej bliskiego estetyce realizmu socjalistycznego wyrazu artystycznego. Zagórski zaczyna dostrzegać piękno naszej rzeczywistości. Wybór piękna zostaje dokonany. Jest nim walka i praca. Jest nim pochwała trudu człowieka. Daje się już zauważyć pewna walka z estetyzmem. I tak np. pisząc w wierszu „Gdy oliwkowe już się stają szyby" o mieście, które rośnie coraz wspanialej, przywołując w marzeniu obraz jego przyszłego piękna powie jednak:

Ale wiem także, że wówczas
piosenką
Żalu będziemy wspominali czas ten,
Gdyśmy te gruzy własną czyszcząc
ręką
Powtórną młodość przywrócili
miastu.

Owa „piosenka żalu" nie jest tu czymś, co należy traktować dosłownie — chodzi tylko o uwydatnienie przywiązania do pracy i współczesności, do jej trudu.

Poeta zaczyna zauważać konieczność zaangażowania się w wysiłku codziennej rzeczywistości:

Jak udźwignie twoje sumienie
Pracę, która bez ciebie
Ponad głowę twoją urasta?
(Idea)

pisze w utworze bardziej słusznym zresztą ideowo niż artystycznie. Jest jeszcze pewne oddalenie, pozostałości estetyzmu w języku artystycznym, w budowaniu obrazów — ale jest również zasadniczo nowy akcent. O związaniu z życiem narodu mówią takie wiersze jak np. „Kiedy miliony ludzi padały", gdzie pięknie nazywa poeta Nową Hutę stalowym sercem osadzonym w żywym ciele narodu.

Te widoczne przesunięcia ideowo artystyczne w poezji Zagórskiego w kierunku realizmu są zmianą podmiotu pisarskiego, są zmianą bohaterów tej poezji dość skąpej w kreśleniu ich sylwetek, gdyż charakterystycznej dotąd raczej przez intelektualny skrót niż rozbudowanie opisu człowieka. Świadczy o tym utwór „Muza wrocławska", który po odliczeniu niezupełnie przekonywających wywodów historycznych, daje cenny i piękny obraz nowych gospodarzy tych ziem — polskiego ludu. Obraz dwojga młodych — dzieci robotniczych — studentów wrocławskiego uniwersytetu będący symbolem narodu, który przyszedł na te ziemie — ten obraz jest prawdziwy i piękny.

Patriotyczne akcenty zawarte w wierszu „Ojczyzna" będącym w niektórych partiach uwspółcześnioną transpozycją Lermontowa („Otczizna") są dalszym objawem zbliżenia do narodu. Ponieważ utwór ten zamyką wybór wierszy Zagórskiego i szczególnie akcentuje bliskość poety do spraw narodu trzeba o nim powiedzieć parę słów. Szczerość i prostota artystyczna przekonują. Niedobrze jednak, że poeta ciągle patrzy raczej z obserwacyjnych pozycji. Niedobrze, że zbyt dosłownie przeniósł pewne sformułowania Lermontowa mające funkcję postępową na tle romantyzmu rosyjskiego i tłumaczące się historycznie: a więc zadumę Lermontowa nad przyczyną miłości do swojego kraju, będącego przecież pod jarzmem feudalizmu i caratu.

Niesłuszne jest odżegnywanie się Zagórskiego od elementów dumy historycznej, co u Lermontowa żyjącego w zaborczym państwie cara, wśród pasożytniczej arystokracji wyrosłej z podbojów, miało wszak inny wydźwięk — niechęć do ucisku klasowego.

Lermontow, wbrew zaprzeczeniom, daje odpowiedź, za co kocha swoją ojczyznę, opisując kraj, w którym żyje i pracuje rosyjski lud, chłop rosyjski, którego obraz zamieszcza na końcu wiersza. Zagórski również stara się dać odpowiedź w podobny sposób, ale przez przyjęcie niesłusznej historycznie postawy, wykrzywia ideowo swój utwór. Dziś nie należy uciekać od historii od obrazu ludu — wszak on ją kształtuje i on ją dziedziczy, w jej najjaśniejszych momentach.

Czytając wiersz „Do Mao Tse-Tunga" zauważamy drogę, jaką zrobił Zagórski od przedwojennych mętnych ideowo utworów do akcentów prawdziwego internacjonalizmu wyrażonych pięknie. I tutaj jedno spostrzeżenie. Ten wiersz również zdaje się być klasyczny:

Podobne wiążą nas nadzieje:
Jak praca twarda, pieśń wysoka
I walka co sztandarem wieje
Nad nami jak nad Krajem Smoka.

I tutaj przyznaję rację Herdegenowi, który widział w tym wierszu drogowskaz słusznego rozwoju poety. Ale jednocześnie dalej polemizuję z nim. Nie jest potrzebna poecie rezygnacja z właściwego mu języka artystycznego, skondensowanego, operującego alegorycznymi obrazami, skrótami, ale konieczne jest zrezygnowanie z przestarzałych rekwizytów, nie klasycznych lecz dekadenckich, zrezygnowanie z dystansu na rzecz bezpośredniości. Słuszne jest operowanie symbolem, porównaniem alegorycznym — lecz rzeczy bliskich i żywych, odwołanie się do podstawowych uczuć ludzkich, klasycznych, niezmiennych w poetykach wszystkich wieków jak: nadzieja, duma, radość, zwycięstwo, nienawiść i przyjaźń, pokój — lecz w oparciu o ich żywe, konkretne zastosowanie do historii. To pełne związanie z historią i swoim czasem, walka z arealistycznymi i wrogimi ideowo tendencjami pozwoli utalentowanemu poecie wyzwolić swoją poezję z chłodnych, sztywnych „pierścieni strof" i zbliżyć ją do „pieśni wysokiej", sławiącej walkę i pracę.

Jacek Trznadel

[1]) *Jerzy Zagórski, Wiersze wybrane „Czytelnik" 1951, s. 52, 4 nlb.*

[2]) *Leszek Herdegen, „Pierścienie strof" Jerzego Zagórskiego, Życie Literackie, Nr 8, 1951 r.*

ANDRZEJ TREPKA

SONDA W PRZYSZŁOŚĆ

FANTAZJA w literaturze nie jest niczym nowym. Tematykę fantastyczną, na przemian w sposób bliższy naukowym rozważaniom lub irrealnemu marzeniu, podejmowało na przestrzeni wieków wielu znanych i zapomnianych twórców. A jednak świeżo napisana książka Stanisława Lema *) wyłamuje się z rodowodu powieści fantastycznych jako pozycja w naszej literaturze niewątpliwie pionierska. Wchodzi tu w grę czynnik bardzo poważny: czas akcji. Rok 2006. *„Wiele już lat mijało od upadku ostatniego państwa kapitalistycznego. Kończył się trudny, bolesny i wielki okres sprawiedliwego przetwarzania świata."* Tyle wyjaśnień autora.. Możemy przypuszczać, że tu i ówdzie padał jeszcze desperacki strzał klasowego wroga, że walka o zniszczenie szczęścia dla wszystkich, już nie jawna, bez żadnych szans powodzenia ,toczyła się jeszcze gdzieniegdzie; nie na polu bitewnym wprawdzie, ale w psychice ludzi, związanych ostatnimi korzeniami ze złem, które było kiedyś.

Ale Lem nie zamierzył pisać epopei o całym społeczeństwie ludzkim za pół wieku. Jego książka, jak zaznaczyłem na wstępie, jest wycinkiem przyszłości. Wąskim wycinkiem. Oś akcji stanowi pierwszy lot międzyplanetarny. Bohaterami są uczeni, organizatorzy wyprawy, załoga rakiety. Wydaje mi się słuszne, że ukazując ludzi wychowanych już w światowym społeczeństwie komunistycznym, którym przyświeca wielka idea poznawcza oraz idea obrony ludzkości przed przypuszczalnym atakiem mieszkańców Wenery planujących zniszczenie życia na ziemi, autor stawia swych bohaterów na wysokim poziomie moralnym. Osiągając zamierzony cel, Lem uniknął schematyzmu odczłowieczenia swoich bohaterów w kierunku „uanielenia" ich czy sztucznej heroizacji. Bliskie i głęboko zrozumiałe dla nas jest chwilowe przerażenie Smitha na myśl: *„A jeżeli rakieta zaatakowana czy w tragicznej katastrofie zginęła i jestem tu (na* Wenerze — przyp. — A. T.) *jedynym żyjącym człowiekiem?"* To samo dotyczy dramatycznej sceny w podziemiach wymarłego miasta na Wenerze, kiedy autor ukazuje nam w oczach Arsenjewa, który zgubił spłonki do fulguritu, *„zwyczajny ludzki strach"*, jak również parę stronic dalej usiłowanie Smitha dokonanie samobójstwa w tej na pozór zupełnie beznadziejnej sytuacji.

Niektóre fragmenty powieści budzą jednak pewne zastrzeżenia. Pierwsze z nich dotyczy „sprawy Meteoru Tunguskiego". Opierając się na enuncjacjach publikowanych w 1950 r. w prasie radzieckiej przez Łapunowa i Kazancewa, Lem słowo w słowo za nimi dowodzi, że obserwowany 30 czerwca 1908 r. w okolicach Podkamiennej Tunguskiej, meteor, którego upadkowi towarzyszył silny blask, potężne detonacje i wstrząsy ziemi— był statkiem międzyplanetarnym, a obserwowane zjawiska były wywołane jego katastrofą bezpośrednio przed zamierzonym lądowaniem. Radzieccy uczeni, zwłaszcza meteorytologowie, ostro potępili pomysł Łapunowa i Kazancewa jako szkodliwą fantazję, wprowadzającą w błąd czytelników. Zostało bowiem stwierdzone bezspornie, że zaobserwowany w 1908 r. fenomen natury stanowił upadek wielkiego meteoru, a towarzyszące mu zjawiska, jak nierównomierne, w różnych kierunkach powalenie lasu, niezwykle silny blask, wybuchy i wstrząsy ziemi, wreszcie nieodnalezienie żadnych odłamków meteoru — znajdują naukowe wytłumaczenie. Tak samo zmyślona jest powiastka o rzekomym zaobserwowaniu przez francuskiego astronoma o dwie doby wcześniej jakiegoś małego ciała niebieskiego w polu widzenia teleskopu, co również Lem powtarza skwapliwie za Łapunowem. Tego rodzaju tłumaczenie jest pociągające z punktu widzenia konstrukcji książki. Można je było wszakże z łatwością wykorzystać stwarzając fabularną fikcję, zamiast błędu naukowego. Wystarczyło zmienić miejsce i czas katastrofy statku międzyplanetarnego. W tym miejscu trzeba jednak lojalnie zaznaczyć, że kiedy autor pisał książkę, a nawet jeszcze gdy oddawał ją do druku, upatrywanie w Meteorze Tunguskim rakiety z innej ziemi nie było zdementowane.

Można uczynić jeszcze jedno zastrzeżenie. Mieści się ono w prostym słowie: data. W wyobraźni Lema pierwszy pocisk międzyplanetarny opuszcza ziemię w roku 2006. Wydaje mi się zadziwiające, że człowiek, który w całokształcie książki wykorzystał znajomość najnowszej techniki i osiągnięć naukowych, zwłaszcza w dziedzinie fizyki i astronomii ,każe nam czekać na ten wielki dzień aż 55 lat, chociaż prace w tym kierunku są bardzo zaawansowane i nic nie stoi na przeszkodzie, by taka rakieta została wypuszczona w przestrzeń kosmiczną w ciągu najbliższego dziesięciolecia. Przecież technicznie kwestia jest prawie opracowana, a niektóre niezbędne do zainstalowania w rakiecie instrumenty jak np. coelostat są już zbudowane i czekają na swoje przeznaczenie.

Piękne i mocne jest zakończenie książki, ale zawiera — na przestrzeni jednego zdania — program dość niepokojący. W tym miejscu oddaję głos jednemu z bohaterów Lema:

„W obliczu zguby, jaką niosła mu historia, imperializm usiłował pociągnąć za sobą całą ludzkość. Walcząc z nim, walczyliśmy o coś większego niż nagi byt. Tylko odbijając się w oczach, które na nie patrzą, kształty materii nabierają piękna i znaczenia. Tylko życie nadaje światu sens. Dlatego będziemy mieli odwagę powrócić na tę planetę. Na zawsze zachowamy w pamięci jej tragedię, tragedię życia, które powstało przeciw życiu i samo zostało zniszczone.

Arsenjew podszedł do telewizora.

— Przyjaciele! Wenus to tylko etap. Wyprawa nasza jest pierwszym krokiem na drodze, której końca nikt z nas nawet się nie domyśla. Wierzę, że przekroczymy granice układu słonecznego i pójdziemy dalej, że wstąpimy na tysiące ciał niebieskich ,które wirują wokół innych słońc i nadejdzie — może za milion, może za miliard lat — czas, kiedy człowiek zaludni całą galaktykę i światła nocnego nieba będą mu tak bliskie, jak światła dalekich domów. A chociaż nie możemy pojąć tych czasów, wiem, że dotrwa do nich miłość, bo ona jest potwierdzeniem piękna świata w oczach drugiego człowieka".

„...Człowiek zaludni całą galaktykę". Nie posądzam Lema o złą wolę, ale taka prognoza, taki plan totalnej kolonizacji wszechświata wygląda mi nieco na jakiś... ..imperializm międzyplanetarny". Możemy bowiem przypuszczać, że nasza ziemia nie jest globem odosobnionym i uprzywilejowanym jako siedlisko życia organicznego. Istnienie roślinności na Marsie zostało już stwierdzone. Można przypuścić, że oprócz naszego układu słonecznego, na wielu, bardzo wielu planetach, których skonstruowane dotychczas teleskopy nie są w stanie nam ukazać, krążących wokół mniej lub bardziej oddalonych od nas gwiazd, istnieje życie. Nie potrafimy dzisiaj dać odpowiedzi, w jakich formach to życie przebiega i jak ono wygląda, niemniej rozmaitość tych form musi być olbrzymia. Sprawia to różnorodność warunków fizycznych i składu atmosfery, w jakich to życie powstało i ulegało dalszej ewolucji. Jedne z tych form mogą być prymitywne nawet w stosunku do świata roślinnego jaki znamy, inne za to mogą być podobne nam, ludziom, a może nawet niektóre przewyższają nas inteligencją lub różnią się od nas bardzo wysokim jednokierunkowym wyspecjalizowaniem. Istnienie we wszechświecie istot rozumnych poza naszą ziemią wydaje się naukowo dopuszczalne, a tylko nieprzejednany upór Kościoła, któremu to było niewygodne w związku z głoszoną legendą o „stworzeniu świata", upór który doprowadził do spalenia na stosie Gordiana Bruno za głoszenie słusznej teorii wielości światów — przez długie wieki tłumił i gromił idące w tym kierunku przypuszczenia. O ile istnieją w naszym układzie słonecznym lub poza nim, planety zamieszkałe przez istoty rozumne, jest rzeczą niewątpliwą, że w większości wypadków są one dostosowane do takich warunków tam panujących, które wykluczają życie człowieka. Zmiana tych warunków na zbliżone do ziemskich, to jest umożliwiające osiedlenie się ludzi jest teoretycznie zupełnie do pomyślenia. Natomiast wydaje się rzeczą niemożliwą dostosowanie organizmów żyjących tam istot do zmienionych warunków, odpowiednich dla człowieka, ale dla naturalnych gospodarzy planety szkodliwych, a najprawdopodobniej zabójczych. Oznaczałoby to zagładę życia na wielu globach po to, aby mogły stać się areną naszej ekspansji. Zagładę sumarycznie olbrzymiej skali odczuć i wrażeń, porażek i zwycięstw na drodze ku lepszemu. Krótko mówiąc byłaby to rzeź we wszechświecie, zbrodnia rozmiarami przerastająca najbardziej krwawe marzenia Nerona i Hitlera. Zniszczenie życia być może zupełnie innego niż nasze, niezrozumiałego dla nas, ale bogatego, pięknego i tak samo uprawnionego do istnienia. Hasło kolonizacji „całej galaktyki" należy więc traktować z pewną nieufnością.

Uważam za słuszne zwrócić uwagę autora na wyraźne przeoczenie, kiedy na str. 189 pisze: „Przecież to... jedna z tych istot, które 80 lat temu zbudowały pocisk międzyplanetarny". A może to błąd zecerski? W każdym razie powinno być: „100 lat temu". Warto wspomnieć o jeszcze jednym. Lem uznaje dla swoich bohaterów tylko dwie formy zwracania się w oratio recta: „pan" oraz „ty". Obie te formy używane są nieraz pomiędzy tymi samymi osobami, w odmiennych okolicznościach (np. Smith i Aresenjew). Tam nikt nie mówi „wy". Słowo „towarzyszu", tak drogie nam dzisiaj, w oczach autora nie uzyskuje prawa obywatelstwa za lat 50, w ogólnoświatowym społeczeństwie komunistycznym. Dlaczego? Moim zdaniem byłoby to słuszne tylko w przypadku, gdyby istniała jedyna forma zwracania się człowieka do człowieka — „ty".

Książka Lema spełnia swoje zadanie. Jako fantazja podnieca odkrywczą ciekawość i zmusza do myślenia. Od strony naukowej — czytelnik odnosi pożytek wchłaniając duży zasób najnowszej wiedzy podanej w pasjonującej formie. Lem postąpił słusznie, rezygnując z wplecenia do akcji rzeczy niemożliwych, mogących pomieścić się jedynie wśród bajek, jak np. zamiana ludzi w fale i podróże z szybkością światła (Mokrzycki). Obraz przedstawiony w „Astronautach" jest prawdopodobny w każdym szczególe. I choć nadchodzące lata, w których człowiek oderwie się od ziemi by polecieć na sąsiednie planety i po powrocie dać nam świadectwo prawdy o nich, zaznajomią nas z Wenerą zgoła inną niż opisywana przez Lema, chociaż może niejeden milowy słup dziejowego postępu nauki wyprzedzi ostrożne i oszczędne pod tym względem pióro, nie umniejszy to w żadnym stopniu wartości książki. Autor nie jest prorokiem i za takiego się nie podaje. Sam fakt teoretycznego prawdopodobieństwa ukazanego nam obrazu przemawia na korzyść utworu.

W sumie należy ocenić „Astronautów" jako pozycję dodatnią i potrzebną, a autorowi życzyć dalszych osiągnięć na tej samej drodze.

Andrzej Trepka

*) *Stanisław Lem, „Astronauci", powieść fantastyczno-naukowa, Czytelnik 1951.*

LESŁAW BARTELSKI

Czynem i piórem

KIEDY mieszkańcy Warszawy w upalną, czerwcową niedzielę udawali się na podmiejskie wycieczki, w sali Rady Państwa rozpoczął się zjazd korespondentów pism chłopskich. Przybyło ich ponad czterystu, nie brakło kobiet i młodzieży. Drobna to wprawdzie cząstka olbrzymiej masy korespondentów, tym większa więc odpowiedzialność spoczywała na każdym. Wielu na piersiach miało Krzyże Zasługi, wielu ordery i medale bojowe. Podkreślali tym wagę chwili Ogólnokrajowego Zjazdu Korespondentów w dwa tygodnie po VII Plenum.

Poczucie własnej godności ani na chwilę nie pozwalało zapomnieć tym ludziom, że w pewnej mierze są odpowiedzialni za przyszłość i kierowanie państwem. 250 tysięcy listów rocznie, jakie wieś przesyła do redakcji wyraża właśnie współudział w rządzeniu, co wyraźnie podkreślił w swym referacie wicemarszałek Sejmu — Roman Zambrowski: „Chciałbym stwierdzić olbrzymie znaczenie tych listów w walce z wrogiem klasowym i biurokratyzmem w uzdrawianiu naszego aparatu państwowego, w oczyszczaniu go z elementów obcych i wrogich. Chcę też stwierdzić, że niejednokrotnie rady i sygnały, zawarte w listach do redakcji, stają się bodźcem do podejmowania przez naczelne władze bardzo istotnych decyzji państwowych".

*

Sala reagowała żywo, to prawda. Ale były chwile, kiedy ze zdwojoną energią korespondenci oklaskiwali mówcę. Kiedy wicemarszałek Zambrowski podał, że „liczba młodzieży chłopskiej wśród studentów szkół wyższych wzrosła z 5 tysięcy przed wojną do 30 tysięcy obecnie", odpowiedzią były huczne oklaski. Również z hucznymi oklaskami spotkało się stwierdzenie, że „w nieznanych i nieosiągalnych przed wojną ilościach zaczynają się na wsi pojawiać nowe kadry inteligencji wiejskiej" i „że wzrost ten będzie z każdym rokiem coraz większy". Korespondenci zareagowali żywo na tę przyznaną im rangę nowej inteligencji, co w zupełności potwierdzili swoimi wypowiedziami. Brzmiała w nich troska o człowieka, o kraj, o gospodarstwo zarówno własne jak i gromadzkie. Młody chłopak, 16-letni Ferdynand Napiórkowski ze wsi Józefowo, pow. Maków, opowiadał w jaki sposób stoczył walkę z gromadą o las. Wystąpił nawet przeciw własnemu ojcu, prezesowi gminnej Samopomocy Chłopskiej, gdy ten wraz z innymi niszczył wspólne dobro. Stało się ono dla młodego chłopca równie drogie jak własne, i w tym widać, jaką głęboko wychowawczą rolę spełniają korespondencje. Mówiono o tym na zjeździe i podawano setki przykładów, jak początkowa walka wrogów klasowych i biurokracji z korespondentami, idącymi w pojedynkę, niedoświadczonymi, zakończyła się wygraną korespondentów. I jak z krytyka przypadkowych wydarzeń czy niedociągnięć administracyjnych, powoli korespondent przechodził i przechodzi na pozycje niejako kontrolera społecznego, którego zadaniem jest sprawdzanie, w jaki sposób realizowany jest w gromadzie czy gminie Plan 6-letni.

List do Prezydenta, przesłany przez uczestników zjazdu, wytyczył nie tylko plan pracy korespondentów, ale w swych przesłankach związał ich pracę jeszcze mocniej z istotą walki narodu — przemianami politycznymi, gospodarczymi i społecznymi. A rola korespondentów jest w tej walce nie byle jaka, odpowiedzialna, przejawiająca się w gromadzeniu wokół siebie aktywu społecznego, tej narastającej inteligencji ludowej, podnoszeniu jej świadomości klasowej i narodowej; związek tym ściślejszy, że wypływający z przekonania korespondentów o jego głębokim sensie.

*

Z czego wypływa zajadłość korespondentów, tropienie nieustanne zła społecznego, szkodnictwa i marnotrawstwa? Przyjrzyjmy się temu zagadnieniu bliżej a dostrzeżemy w nim nową formę patriotyzmu, którego nie zawahałbym się określić mianem socjalistycznego. Walka ze złem, wypływająca niejednokrotnie z pobudek moralnych uzyskała tu rangę najwyższą, bo polityczną. Pozwala nam to zrozumieć, dlaczego korespondenci są otoczeni szacunkiem gromady i nienawiścią wrogów. „Z początku praca była ciężka i niebezpieczna — powiedział góral spod Giewontu, Jacek Michniak — bo jak się atakowało gminną radę narodową, że śpią jak te świstaki w Tatrach, to cała burza zwaliła się na mnie. Ale później przekonali się, że korespondent chce ich dobra i teraz podchodzą do mnie inaczej; mają zaufanie, tylko boją się, żebym czasem nie wpadł do urzędu i nie robił tam porządków".

W tych słowach kryje się coś więcej niż pozornie śmieszna anegdota o wystraszonych urzędnikach. Michniak, wyrażając przekonanie miejscowej opinii publicznej, spowodował przemiany natury zasadniczej, polegające na aktywizacji działania rad terenowych. Tym samym wzbudził zaufanie do władzy ludowej i dał przykład, w jaki sposób są realizowane praktycznie postulaty demokracji. A więc — rodowód patriotyzmu.

*

Na zjeździe przemawiali nauczyciele i spółdzielcy, działacze rad narodowych i agronomowie, gospodarze indywidualni i pracownicy PGR-ów, POM-owcy i bibliotekarze, młodzież i starsi, górnicy i budowlani. Zabrakło tylko głosu pisarza, jakby literaci polscy nie mieli korespondentom nic do powiedzenia. A przecież wydaje się, że właśnie nie kto inny, jak pisarze powinni mieć wiele spraw do tych, którzy w terenie walcząc ze złem kształtują nową rzeczywistość czynem i... piórem. Zagadnienie docierania książek o współczesnej tematyce, ich oddziaływanie na środowiska bliskie korespondentowi, krytyka braków i pochwała osiągnięć współczesnej literatury, ileż by mogła dać cennych wniosków i spostrzeżeń?

A może w listach wypowiecie się na ten temat, koledzy - korespondenci?

Lesław Bartelski

List z Paryża

Zamieszczamy list, jaki jeden z naszych czytelników otrzymał od towarzysza francuskiego z Paryża. List zawiera opis słynnej manifestacji ludu Paryża przeciwko gen. Ridgwayowi, manifestacji, po której rozpętała się fala represji ze strony kryptofaszysty Pinaya.

TEJ środy, 28-go maja od 17.30 zaczęły wszędzie formować się grupy przy wyjściu z fabryk. I nikt nie zważał na bezwzględny zakaz zbierania się (a za zebranie uważane są grupy powyżej trzech osób), poparty olbrzymią koncentracją policji we wszystkich częściach miasta.

Stopniowo ukazują się nasze transparenty głoszące: „Wynoś się Ridgway — dżumo", „Amerykanie do Ameryki", „Zwolnić Stila" itp.

Z początku jest nas zaledwie kilkadziesiąt osób (autor listu pracuje w małej fabryczce na przedmieściu Paryża — uw. red.) przy Porte de la Villette. Ale po drodze do centrum miasta na Rue de Flandres, coraz to nowe grupy przyłączają się do nas, robotnicy i robotnice, urzędnicy wychodzący z biur, dużo, bardzo dużo młodzieży.

W oddali, o paręset metrów, widzimy zwartą, czarną masę CRS (specjalne policyjne oddziały szturmowe) i policjantów. Zagrodzili szerokość ulicy i czekają na nas.

Prasa reakcyjna pisała później, że byliśmy specjalnie sformowanymi szturmówkami zaprawionymi w walkach ulicznych itp. Prawda jest zupełnie inna. Wśród nas, robotników, którzy właśnie skończyli pracę, czy urzędników, którzy przed paru minutami wyszli z biura, wielu musi przezwyciężyć strach. Ale wiemy, że trzeba uświadomić wszystkim warstwom społecznym ogrom niebezpieczeństwa grożącej nam wojny, której uosobieniem jest Ridgway i wiemy, że w tym celu trzeba zetrzeć się z tą czarną masą, posuwającą się zwolna przeciw nam.

Jest nas około 300 osób, gdy dochodzimy do kordonu policji. Starcie następuje szybko i od razu staje się bardzo gwałtowne. Policja otrzymała widocznie rozkaz, by za wszelką cenę zlikwidować w zarodku każdą próbę manifestacji. Ale z jej zachowania przebija strach, zwiększając jeszcze brutalność. Natomiast po naszej stronie strach znika.

Walka w tym miejscu trwa jakieś 10 minut. Kilku naszych towarzyszy padło z rozbitymi głowami. Są i ranni ze strony policji. Obok mnie policjant usiłuje wyrwać transparent młodemu robotnikowi. Gdy to mu się nie udaje, miażdży mu dłonie ciosami pałki. Ja również dostaję pałką w głowę, ale idę dalej.

Grupujemy się na nowo.

Obok mnie pada ugodzony kulami Belaid Hocine (robotnik algierski, który umarł z upływu krwi, policja bowiem nie dopuściła do udzielenia mu pomocy). Policja usiłuje rozproszyć nas za pomocą strzałów. Ale manifestacja dopiero się zaczyna.

Na Place de Stalingrad łączymy się z innymi grupami manifestantów. Siły nasze rosną. Po krótkiej walce przerywamy nowy kordon policji. Rozwścieczeni policjanci uciekają obrzucając nas wymysłami.

Dostajemy się na Place de la Chapelle. Tu spotykamy się już z olbrzymim tłumem manifestantów, który trzema kolumnami wkracza na plac. Jest nas już jakieś osiem, może dziesięć tysięcy. Są robotnicy z Saint Denis, Aubervilliers, Saint Ouen, Asnière itd. Nasz entuzjazm dosięga szczytu. Ludzie, którzy się przedtem nigdy nie znali, obejmują się i ściskają ze wzruszenia.

Ciągniemy na Gare du Nord (Dworzec północny). Po drodze przyłączają się do nas coraz to nowe grupy. Zajmujemy już całą szerokość ulicy wraz z trotuarami. Śpiewamy „Marsyliankę". Wielu przechodniów śpiewa razem z nami.

Obok dworca silne oddziały zgrupowanej tam policji usiłują nas atakować. Ale jesteśmy już dla nich zbyt silni: z okien drugiego i trzeciego piętra ich patrole informują, że w pochodzie bierze udział kilkadziesiąt, może, tysięcy. I że ten pochód, jeszcze kiedy składał się z pojedynczych strumieni, już porozrywał kordony policji, już pozmiatał uszelkie zapory. Policjanci cofają się w popłochu i barykadują w obrębie dworca. Jesteśmy w samym centrum Paryża. Policjanci wszędzie uciekają przed nami. Jedynie od czasu do czasu po bokach napadają we czwórkę lub piątkę na jakiegoś towarzysza, często przypadkowego przechodnia, którego udało się im odizolować od manifestacji.

Ale ludność ostro reaguje na ich brutalność. Sam widziałem jak jakiś starszy pan, siedzący na tarasie kawiarni, rzucił się z gołymi rękoma na grupę CRS kopiących systematycznie powalonego na ziemię młodego robotnika.

Wkraczamy na Boulevard Magenta. Tworzymy teraz olbrzymią, zwartą masę, która przerywa prawie bez walki kordon policji próbujący zagrodzić nam drogę.

Okrążamy wypełniony po brzegi policją Plac Republikanów i wychodzimy na Wielkie Bulwary.

Tam grupa CRS usiłuje nas atakować. Spotyka ich grad kamieni wydartych z bruku, kawałków żelaza i innych pocisków. Trzonki transparentów okazują się bronią nie gorszą od pałek policyjnych. Słychać metaliczne dźwięki wydawane przez uderzanie kijów w hełmy policji. Wkrótce na ziemi leży pełno rozbitych kasków, pałek policyjnych i sporo rannych policjantów. Policjanci wycofują się zabierając swoich rannych. Rzucają granaty łzawiące. Ale i wtedy to nie my, to policja, żegnana drwiącymi okrzykami tłumu, to ona się wycofuje.

Na Bulwarach, na oczach wściekłej lecz bezsilnej policji odbywa się wiec. Przemawia Karman, sekretarz Federacji paryskiej FPK. Wyjaśnia sens naszej manifestacji. Chodzi o to, aby ludność wszystkich dzielnic widziała manifestantów i aby uświadomiła sobie niebezpieczeństwo, jakim grozi wszystkim Francuzom polityka zdrady naszego rządu.

Udajemy się w drogę powrotną. Dochodzi do nowego starcia na ulicy Jean Pierre Thibaut, gdzie nad jeżdża wiele aut ciężarowych z policją i CRS.

Sypie się grad pocisków. Ale też w mgnieniu oka wszystkie szyby w autach są rozbite, plandeki zerwane, jeden wóz przewrócony. Manifestanci wyciągają z niego policjantów za ręce i nogi. Opornych „neutralizuje się". Policja oddaje trochę strzałów w rejteradzie.

Bez przeszkód już manifestacja posuwa się dalej, przez Boulevard de Bellevile i Bd. de la Villette, gdzie znowu na oczach bezsilnej policji odbywa się krótki wiec, na którym przemawia górnik z St. Denis, Auguste Gillot.

Jest godzina 20.30, gdy po skończonej manifestacji, rozchodzimy się do domów... tym razem dobrowolnie.

A równocześnie z nami dziesiątki tysięcy osób manifestowało na Menilmontant, na Bd. Voltaire, na Place Clichy, na Faubourg Montmartre, przy Dworcu St. Lazare, w Dzielnicy Łacińskiej (w tym ostatnim miejscu przede wszystkim studenci). I wszędzie tej środy rozlegały się okrzyki:

„Amerykanie do Ameryki", „Ridgway - morderca", „Faszyzm nie przejdzie". „Pokój obronimy", „Ridgway, go home i zabierz ze sobą Pinaya". Paryż był znowu nasz.

Twój **Antoine Richet**

* * *

M. STELMACH

Chłopi polscy u kołchoźników

Chłopi z Polski u nas byli,
Myśmy gości uraczyli,
Częstowano pod Połtawą
Tych, co żyją gdzieś pod Rawą
W miejscowości Komorowo,
I w gromadzie Jaworowo,
W Poddębicach, Pokrzywicach
i w osadzie Moszczenica.

Chłopi kołchoz oglądali
I o wszystko się pytali:
Czy pszenica w polu darzy,
Czy jałówkom włos się jarzy,
Ile w stawach mamy ryby,
Jakie sadło, jakie grzyby,
Co się dzieje dookoła,
Co na obiad jest na stołach?

Myśmy nic nie chcieli taić:
Wejdź do domu, na wieś zajedź!
Patrzą: w domu pszenne buły,
W polu kłosy się rozsnuły.
Goście wszystko przepatrują
I wszystkiemu się dziwują.
Żebyś przeszedł świat, zwyczajnie,
Takich plonów nie odnajdziesz.
Takie zboża niech się zjawią
W Komorowie i pod Rawą,
W Poddębicach, w Pokrzywicach
I w osadzie Moszczenica.
I — dodali chórem wszyscy —
Jaworowo też niech błyszczy.

A jak stawy są szerokie —
Skacze ryba, łypie okiem.
Z takiej ryby tłusta zupa,
Błyszczy jakbyś bursztyn łupał.

Goście jedli z apetytem
I chwalili rozmaitych
Kołchoźników i piekarzy,
I rybaków, i kucharzy,
Bo nie znają tego jeszcze
Gdzieś pod Rawą, w gminie Brzeszcze
W miejscowości Komorowo
I w gromadzie Jaworowo,
W Poddębicach, Pokrzywicach
I w osadzie Moszczenica.

Dziwowali się przyjezdni:
Tyle tego dali jeść mi!
W beczkach stoi stare wino
W sali książki, piękne kino...
W każdej chacie płonie żywo
Elektryczność, nie łuczywo.
Dobrze tu, bogato, dzielnie!
Będą u nas też spółdzielnie
W miejscowości Komorowo
I w gromadzie Jaworowo,
W Poddębicach, w Pokrzywicach
I w osadzie Moszczenica.

Myśmy rzekli: nieszczęśliwie
Wiedzie wam się na tej niwie.
I na nowy życia posiew,
Żeby dobrze rodziło się,
Daliśmy im siewne ziarno
Dłonią szczerą i ofiarną.
Niechaj krzepnie nasza przyjaźń,
Niech bogactwo i Wam sprzyja
W miejscowości Komorowo
I w gromadzie Jaworowo
W Poddębicach, w Pokrzywicach
I w osadzie Moszczenica.

Przełożył
G. T.

* * *

WCHWILI gdy Antoine Richet wracał do mieszkania, by na gorąco przelać swój zapał w liście do przyjaciela polskiego, rząd Pinaya, na rozkaz okupanta, na rozkaz swych waszyngtońskich mocodawców, rzucał na Francję „czarny mur pałek i karabinów" w nadziei, że środki faszystowskie przedłużą życie ginącego reżimu. Uwięzienie Duclos, cyniczne fałszowania aktów sądowych, masowe areszty, masowe rewizje — wszystko to miało wykazać, że faszyzm może gospodarzyć Francją.

W Niemczech Zachodnich tę samą próbę podejmował „żelazny kanclerz arcykatolicki", Konrad Adenauer. Waszyngton nabrał otuchy. Gesty rozpaczy biorąc za „pozycje mocy" Truman wysyła Ridgwaya do Włoch dla zarządzenia środków ostatecznych, raz po raz zrywa rokowania w Korei i zgłasza w senacie USA żądanie ratyfikacji wojennego układu w Bonn.

Od owej chwili minęło zaledwie sześć tygodni, a miraż Trumana już zbladł i rozpłynął się w nicość. Pozostała zeń tylko ratyfikacja senacka — i zawisła w powietrzu, gdyż w Bonn pod ciosami narodu niemieckiego zapadł się układ ogólny. De Gasperi znieruchomiał w Rzymie — bardziej lękając się własnego narodu niż gniewów generalskich i watykańskich. W Paryżu lud Francji zbrojny w entuzjazm rewolucyjny podyktował swą wolę i otworzył bramy więzienia Santé: Jacques Duclos odzyskał wolność, a wraz z nim odzyskała wolność Republika Francuska.

„Sam ucisk, choćby nie wiadomo jak wielki, nie zawsze wytwarza rewolucyjną sytuację w kraju — pisał Lenin przed laty blisko czterdziestu." — Przeważnie dla rewolucji nie jest rzeczą wystarczającą, aby *doły nie chciały* żyć tak jak dotąd. Dla rewolucji potrzeba jeszcze, aby *góra nie mogła* gospodarzyć i rządzić jak dotąd..."

Na obszarze całego kapitalistycznego świata doły od dawna już nie chcą dotychczasowego życia. A góra każdym swym posunięciem, każdym aktem bezsilnego terroru dowodzi, że nie może już gospodarzyć i rządzić jak dotąd. Ale, jak mówi Lenin, „ani ucisk dołów, ani kryzys góry nie wytworzą jeszcze rewolucji — wytworzą tylko gnicie kraju — jeśli nie ma w tym kraju klasy rewolucyjnej zdolnej do przekształcenia biernego stanu ucisku w czynny stan buntu i powstania".

Stan gnicia kapitalizmu jest powszechny. A entuzjazm Antoine Richeta jest właśnie dynamiką rewolucyjną, która przekształca bierny stan ucisku w czynny stan buntu i powstania. Antoine Richet trwa w ogniu walki i trwają obok niego miliony towarzyszy we wszystkich krajach kapitalistycznego świata. Walczą o przyszłość socjalistyczną swoich narodów, walczą z naporem coraz bardziej brutalnym, gdyż coraz bardziej rozpaczliwym, terroru.

I walczą z obozem wojny. Gdyż pamiętajmy, że manifestacja, w której brał udział Richet, była w obronie pokoju. I za obronę pokoju aresztowany został Jacques Duclos. Wielkie monopole widzą w wojnie jedyne ocalenie, jedyną drogę wyjścia ze wszystkich swych trudności, widzą najskuteczniejszy środek ucisku klasowego. Stąd wojna staje się linią podziału i zmienia układ klasowych sił. Stąd w manifestacji przeciw Ridgwayowi obok Richetą brały udział nawet tysiące sklepikarzy paryskich, tysiące urzędników, tysiące drobnych mieszczan. Stąd o wolność Duclos, o wolność, demokrację i pokój, walczyli pisarze katoliccy, walczyli przedstawiciele wszystkich bez mała kierunków myśli francuskiej.

Dokoła klasy rewolucyjnej, która w każdym narodzie staje na czele ofensywy pokoju, grupują się ludzie różnych ras, przekonań, środowisk, tworząc „najszerszy, najbardziej masowy, najpowszechniejszy ruch społeczny, jaki kiedykolwiek istniał" — powtórzmy słowa Prezydenta Bieruta. I hasła rzucone przez obradującą w Berlinie Światową Radę Pokoju, zapowiedź III Kongresu Pokoju, Kongresu Narodów, przenikają wszystkie żelazne i dolarowe kurtyny i docierają do najdalszych zakątków globu: *pokój może i musi być uratowany!*

Andrzej Skiba

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca stycznia br. urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy i miejscy przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 7 52-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7
Prenumerata i kolportaż: P. P. K. „Ruch". Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 804-20 do 25
Tel. Red. Nacz. 727-86 Tel. Redakcji 751 80 dod. wewnętrzny 91, 63
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać: Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3,— zł; kwartalnie 9,—; półrocznie 18,— zł; rocznie 36,— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa 1-6842/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś".
RSW „PRASA", Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-21909

JAN JÓZEF LIPSKI

PRÓBA ODRODZENIA POWIEŚCI SPORTOWEJ*)

GATUNEK opowieści sportowej bujnie krzewiący się w Związku Radzieckim, a spośród państw demokracji ludowej — w Czechosłowacji, nie zdobył sobie dotychczas szerszego uznania w oczach współczesnych pisarzy polskich. Nie mogą tu być brane pod uwagę reportażowo-felietonowe szkice Adolfa Rudnickiego, drukowane w prasie codziennej, choćby ze względu na ich dorywczość i brak nowelistycznej konstrukcji, która pozwoliłaby widzieć w nich coś więcej, niż surowiec literacki; w miniatury te autor nie kładł zresztą, jak się zdaje, większej ambicji. Cykl opowiadań bokserskich Rekszy miał znowu spełnić pewne, ograniczone co do zasięgu, zamówienie czytelnicze. Jego dydaktyczno-dziennikarski cel i oparcie o materiał biograficzny przetworzony tylko reportażowo doprowadziły do powstania swoistej hagiografii bokserskiej, nie roszczącej sobie bynajmniej pretensji do konkurowania z książkami ubiegającymi się o nagrody literackie i obszerne recenzje na łamach pism literackich. Można jeszcze wspomnieć o powieści Bahdaja i na tym urwać ten, nierozpoczęty jeszcze na dobrą sprawę, rejestr.

Opowieści sportowej nie można mechanicznie wydzielać jako całkowicie odrębnego gatunku prozy artystycznej, należy jednak przyznać, że ma ona swoistą tematykę, a często i swoistą strukturę, polegającą na charakterystycznej dwudzielności: część tycząca „pozasportowego" życia bohatera zawiązuje konflikt między działającymi postaciami lub też ukazuje bohatera w przełomowym momencie życia, stopniuje napięcie w miarę zbliżania się meczu, rozgrywki, wielkiego egzaminu sportowych możliwości naczelnej postaci — część druga, zawierająca sam mecz, ma spełnić lub zawieść nadzieje, ma przynieść rozwiązanie konfliktów, przypieczętować lub zahamować przełom. Część ta o tyle ma szanse porwania czytelnika, o ile część poprzednia zdołała udramatyzować sytuację, pokazać, jak wiele w losach bohatera zależy od zwycięstwa lub klęski. Przeważa tu pierwiastek epicki, opis zmagań ma tu walor analogiczny do opisów walk w tradycyjnym eposie, dramatyczność istnieje tu przede wszystkim jako refleks części pierwszej. Narracja jest tu też bardziej epicka, nawet w swych psychologicznych fragmentach, cechuje ją ponad to zagęszczenie terminologii specyficznie sportowej. W części tej akcja kulminacja i pointa utworu. Jeśli zjawia się jeszcze [illegible] służebną, dublując [illegible] dane już w części drugiej lub uzupełniając ex post dane z części pierwszej.

Taka nowela sportowa ma swego klasyka w Jacku Londonie, ma swoich przedstawicieli w radzieckiej literaturze sportowej, spośród których mógłbym wymienić znanych mi Utkowa i Likstanowa. Dobrze byłoby nie zaniedbywać tego gatunku w naszej literaturze, ma on bowiem, jak wiele innych reaktywowanych przez literaturę realizmu socjalistycznego, wielką szansę rozkwitu w nowych, sprzyjających mu warunkach, może nasycić się postępowy treściami i stać się ważnym czynnikiem w walce o nowego człowieka i nowy socjalistyczny styl życia.

„Opowieści sportowe" też należą do tego gatunku. Ale czy reprezentują one gatunek odnowiony ideologicznie — czy też kontynuują mechanicznie jego formalne cechy, nie wzbogacając ich o ideowe wartości? Pewną wskazówką orientacyjną może tu być orzeczenie jury konkursu przedolimpijskiego, chociażby nawet wymagała dyskusji. Orzeczenie to, niewątpliwie kierujące się troską o ideowy i artystyczny poziom naszej literatury sportowej, wyróżnia Promińskiego najwyższą z przyznanych nagród, umieszczając go tym samym na czele twórców piszących w ciągu ostatnich lat czterech o sporcie. Ale jednocześnie jury nie przyznaje nagrody pierwszej i drugiej, sygnalizując, że nagrodzone dzieła nie jest przez sędziów uważane za szczególnie wybitne zjawisko literackie. O ile wydaje się słuszne nieprzyznanie I nagrody „Opowieściom sportowym" — o tyle umieszczenie ich na trzecim z kolei miejscu jest nadmierną surowością, tym bardziej, że nagradzając tylko wybrane opowieści, nie zaś całość („Drugą — proszę" i „Bierz rękawice!") — jury odgradzało się dostatecznie od słabszych pozycji tomu. Wydaje się zresztą, że niewielki dystans dzieli nienagrodzone „Dziesięć kilometrów" od „Bierz rękawice!" — natomiast pozostaje faktem, że „Bramkarz Świętej Barbary" jest na pewno utworem „z drugiego brzegu", na którym nie widać nawet śladów dzisiejszego dnia.

Historia bramkarza urugwajskiej drużyny zawodowej, Puebla Cochas, jest tylko echem literatury międzywojennego dwudziestolecia. By ją zrozumieć, trzeba znać przeszłość autora, jego tom opowiadań „Róże w betonie", w którym spotkały się wszystkie fałsze psychologizmu z tendencją takiego traktowania kompozycji noweli, jakby ta nie miała zawrzeć w sobie żadnej wiedzy o człowieku, jakby była abstrakcyjną układanką; dalej — by ją zrozumieć — trzeba znać całą w ogóle gmatwaninę burżuazyjnej ideologii epoki imperializmu; ona sama natomiast nie ułatwi nam zrozumienia niczego. Los ludzki jest tu jakąś niedostępną czyjemukolwiek poznaniu gmatwaniną psychologicznych komplikacji. Nawet teza dominująca, o tragicznej samotności człowieka, zarysowana się tylko hipotetycznie — bo poza hipotezy proza ta nie jest w stanie wyjść nawet w swych fałszach. Ludzie, nadwrażliwi i psychologicznie przekomplikowani, są więc w wyniku tego niezrozumiali dla swych przypadkowych współtowarzyszy, dla czytelnika, ba, dla autora! Kim bowiem jest Pueblo? Kim jest szukający rozwiązania jego zagadki Berezzi? Czytelnik równie mało by się zdziwił, gdyby autor odpowiedział na to ostatnie pytanie: „Diabłem!" — jak i wyjaśnieniami: „Dziennikarzem!" „Detektywem!" „Wróżbitą!". Kompozycja noweli modyfikuje znacznie podstawowy model gatunkowy „Opowieści sportowej", ale nie po to, by podać w ten sposób jakieś treści poznawcze, lecz przeciwnie, po to, by zaciemnić sytuację. Zamknięcie treści przynależnej zasadniczo do części pierwszej w dwóch wielkich fragmentach: w impresyjnym wspomnieniu Puebla — i w detektywistycznych rozważaniach Berazziego — wzmogło tylko zagadkowość... I cóż z tego, że ideologicznie świadomy czytelnik potrafi na podstawie ubogich realiów społecznych odpowiedzieć na pytanie o przyczyny samobójstwa Puebla po prostu: — „To wynik moralnej atmosfery sportu zawodowego w krajach kapitalistycznych!" — jeśli cały wysiłek warsztatu pisarskiego nastawiony jest na zagłuszenie tej jedynie słusznej odpowiedzi koncepcjami psychologii konstytucjonalnej, psychoanalizy Adlera i Freuda, na przesłonięcie jej z gruntu fałszywymi konstrukcjami kompleksów i sublimacyjnych dążności.

Natomiast o trzech pozostałych opowieściach nie można powiedzieć, by pochodziły również „z tamtego brzegu". „Bierz rękawice!" to opowiadanie; autor bardzo zręcznie splótł konflikty, w które uwikłali się jego bohaterowie — z ich dziejami na ringu, by zakończyć optymistyczną i przekonywającą pochwałą prawdziwej miłości, przyjaźni — i wychowującego, uzdrawiającego sportu, takiego, jakiego nie znają kapitalistyczne kraje, w których człowiek człowiekowi stał się wilkiem, pieniądz zastąpił inne war tość, a zasada „catch as catch can" zapanowała w całym życiu, w sporcie i poza sportem.

„Dziesięć kilometrów" — to historia biegacza, który nie zgodził się sprzedać sławy swych międzynarodowych sukcesów, odniesionych w reprezentacyjnej koszulce z białym orłem — za dolary amerykańskiej wytwórni filmowej. Grzeszy może ta nowela schematyczną miejscami naiwnością w przedstawieniu hollywoodzkich agentów, ich przerysowaniem w kierunku groteski — ale zasadnicza linia ideologiczna, polegająca na kontrastowym pokazaniu niemożliwości dogadania się wierzących tylko w dolary Yankesów z ideowym sportowcem Polski Ludowej — jest dostatecznie jasno zarysowana.

„Drugą — proszę!" wreszcie — to optymistyczna opowieść o... przegranej starego asa tenisowego, Wańczury. Nasycenie jej spokojną radością życia uzyskał autor dzięki umiejętnemu wysunięciu na plan pierwszy momentów ideologicznych. Zrozumienie przez Wańczurę, że mimo przegranej nie jest człowiekiem zbędnym, że Polska Ludowa ceni jego zasługi i potrzebuje jego pracy, że przeciwnik jego, młody Czech Milosz — to przecież nie wróg, że po uczciwej walce można mu szczerze gratulować zwycięstwa, jak synowi lub uczniowi — wszystko to ratuje go przed załamaniem. Autorowi należy się tu tym większa pochwała, że tematyka nastręczała mu możliwości rozegrania raz jeszcze starych, modnych w dwudziestoleciu komplikacji związanych z psychologią starzenia się — i że nie poszedł po tej linii najmniejszego artystycznego oporu.

I „Drugą — proszę!" i „Bierz rękawice!" szczęśliwie na ogół spełniają jedno z najaszczytniejszych zadań naszej literatury sportowej: zadanie ukazywania wielkiej humanistycznej roli sportu w społeczeństwie zdążającym do socjalizmu.

Chociaż nie można powitać w „Opowieściach sportowych" osiągnięcia, któreby całkowicie wypełniło wreszcie tę lukę w naszej literaturze i pozostało w niej trwałą pozycją — to przecież należy w nich uznać liczne walory ideowo-artystyczne, wystarczające, by wpisać je na plus w twórczości autora.

Jan Józef Lipski

**) Marian Promiński Opowieści sportowe, Warszawa, 1952, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 235, 3 nlb.*

JACEK ŻUKOWSKI

Dom kultury w Bukowinie

MUZYKA słychać już na końcu wsi. Melodia odbija się o las i zciszonym echem wraca do chałup. Basy buczą jak trzmiele, pod Tatry leci zbójnicki marsz. Gra góralska kapela Wiejskiego Domu Kultury w Bukowinie. Kapela obok zespołu tanecznego stanowi jedną z najmocniejszych sekcji. Grają starzy górale, pamiętający bartusiowe nutki, grają i młodzi, co gęśliczek już nie widzieli. Instruktorką, przekazującą młodzieży stare pieśni góralskie, jest solistka kapeli Bronisława Konieczna. Smyczek prowadzony ręką starej góralki wydobywa ze skrzypiec to smętne zawodzenie, to znów przeskakuje do szybkiego, weselnego tańca. A motywów zna tyle, jak nikt na Podhalu. Ostatnio dostała nagrodę, jako najlepsza solistka na konkursie kapel góralskich w Zakopanem. Mają się od kogo uczyć młodzi. Przychodzą ze wsi i okolic, popatrzeć, posłuchać i niejeden prosi się do zespołu.

Gdy kapela wraca z gościnnych występów, wita ją cała wieś.

Duszą i mózgiem Domu Kultury jest Józek Pitorak. Przed wojną w ciężkich warunkach zdobywał naukę po to, by wrócić do rodzinnej wsi i prowadzić tu pracę społeczną, kulturalną i oświatową.

Po wojnie zorganizował zespół teatralny, taneczny, kapelę. Dzięki różnorodnym uzdolnieniom artystycznym potrafił pokierować pracami w różnych zespołach. Sam bowiem rzeźbi, maluje na szkle, wykonuje artystyczne roboty w srebrze.

Systematyczna akcja odczytowa, zebrania dyskusyjne, wreszcie występy artystyczne, po których widzowie zabierają głos, omawiając bądź samo wykonanie, bądź problemy poruszane w sztuce, potrafiły zmobilizować wieś.

Bukowiński Dom Kultury postanowił zebrać starych górali, by przekazali oni młodszym swoje umiejętności snycerskie, zdobnicze i rzeźbiarskie.

— Chciałbym — mówi Pitorak — żeby w każdej góralskiej chacie było bodaj trochę prawdziwej sztuki podhalańskiej.

Jest coś pięknego i mocnego zarazem w tym marzeniu, które cechuje ludzi tych stron — ukochanie rodzinnej ziemi, jej sztuki i tradycji.

Dom Kultury wystawił sztukę Józefa Pitoraka — „Janosikowa śleboda". Oczywiście jak zwykle po występie odbyła się dyskusja, po której autor poczynił kilka poprawek w sztuce. Szkoda jednak, że w międzyczasie przyjechała z kontroli jakaś pani, kazała sztukę zdjąć z afisza, a wezwanemu do Krakowa autorowi nie umiano wytłumaczyć, dlaczego. To nieprzemyślane wystąpienie odbiło się na zespole teatralnym, zniechęcając go na pewien czas do pracy.

A zespół ma osiągnięcia, wystawił kilkanaście sztuk, jeździł do okolicznych wsi z występami; wielu jego członków — to wychowankowie jeszcze z 1945 roku. Starsi i młodzież, razem czterdzieści osób. Gra tu ojciec, Tomasz Kuchta, razem ze swoją córką Heleną Pacykową. Zespół teatralny ciekawi nie tylko mieszkańców, również wczasowiczów, których w sezonie jest pełna Bukowina.

W największej sali wyświetlane są filmy. Cały Dom zradiofonizowano. Zewnętrzne megafony informują mieszkańców o mającym się odbyć zebraniu czy występie. Pożyteczne i celowe są wspólne wycieczki, jakie organizuje dla swoich członków kierownictwo Domu.

Najsilniejszym punktem Wiejskiego Domu Kultury w Bukowinie jest bezsprzecznie zespół baletowy. Wiele miesięcy trzeba było ćwiczyć, by nabrać płynności i lekkości ruchów, by osiągnąć maksimum zgrania w zespole. Dziewczęta i chłopcy po całodziennej robocie w polu schodzili się wieczorami do świetlicy i do późna w nocy wybiegały z oświetlonych okien na drogę wydłużone cienie tancerzy. Zespół nie osiadł na laurach po pierwszych powodzeniach. Wieczorami dudniła scena. Dziki taniec zbójnicki, nie przerysowany artystycznie, nie wystylizowany urzeka surowością i prawdziwie ludowym charakterem. Jasio Hodorowicz, dobry tancerz o sprężynowych nogach, wywija ciupagą w szaleńczych wprost obrotach.

Wyniki nie dały długo na siebie czekać. Balet wyjeżdża do Krakowa, Poznania, Warszawy, wszędzie witany entuzjastycznie.

Zbiera zasłużone brawa i nagrody. Prawie wszyscy członkowie zespołu — to młodzież. Dużo ZMP-owców.

Sukcesy nie przerwały dalszej pracy nad doskonaleniem baletu. Wreszcie zespół wyjeżdża zagranicę i do Budapesztu na Światowy Zlot Młodzieży. I tu osiąga wielki sukces zdobywając drugą nagrodę po balecie radzieckim.

Praca Domu Kultury w Bukowinie nie ogranicza się tylko do własnych zespołów i sekcji, do oddziaływania na własną wieś i występów w innych wsiach. Dom postawił sobie ambitny i piękny cel — pomóc Domom Kultury w innych wsiach, dzielić się z nimi zdobytymi doświadczeniami. Dzięki współpracy wzrasta aktywność członków. Dom z własnych funduszów zradiofonizował świetlice w innych wsiach. Przyjacielska, sąsiedzka pomoc. Ostatnio otwarcie w Jurgowie i Brzegach nowych placówek kulturalnych odbyło się nie bez wkładu Wiejskiego Domu Kultury w Bukowinie. Chęci jest wiele, funduszów mniej. Nie starczy dla całej okolicy. I tak na przykład we wsi Czarna Góra jest dobry zespół pieśni i tańca a brak świetlicy. Czynniki kompetentne winny jak najszybciej temu złu zaradzić.

Przed Domem Kultury w Bukowinie stoi jeszcze wiele zadań do wykonania. Musi on umasowić swoje sekcje, wprowadzić nowe zespoły, jeszcze bardziej aktywnie oddziaływać na okolicę. Bo te osiągnięcia, jakie zdobył wytrwałą, żmudną pracą, należy przekazać innym Wiejskim Domom Kultury.

O tym kompetentne czynniki nie powinny zapominać.

Jacek Żukowski